Świat Kobiecy

N-R 20 15 PAŹDZIERNIKA 1930 R. ROK X



ĘD POWIETRZA PRZYNOSI ZDROWIE
NIE NISZCZĄC SKÓRY



jeżeli przed zajęciem miejsca w otwartym samochodzie posmarować skórę cieniutką warstwą KREMU VANISHING POND'S, który daje całkowitą ochronę przed ostrym wiatrem i stwarza doskonały podkład dla pudru.

Dla utrzymania skóry w zdrowym stanie należy oczyszczać ją co wieczór i kilkakrotnie w ciągu dnia COLD KREMEM POND'S. Delikatne olejki tego kremu przenikają głęboko do porów i wypychają na powierzchnię kurz, niedostępny do mydła i wody, odżywiając jednocześnie skórę i pobudzając ją do zachowania jędrności i młodzieńczej świeżości.

Krem POND'S



M.KOLBERG

P. T. Mc DOUGALL & Co, Warszawa, Bielańska 4.

Proszę przysłać bezpłatnie próbki
COLD CREAM i VANISHING CREAM POND'S

Nazwisko ....

Miejscowość ....

Ulica i numer domu ....

Załączam znaczek pocztowy za 25 groszy na koszty przesyłki.

Prosimy wypełnić kupon, wyciąć i nadesłać.

1029

Miljony dziennie używają

Chlorodont

Pastę do zębów
Wodę do ust
Szczotki do zębów



Dr A. SOŁTYSIK

chirurg - ortopeda
diatermia, lampa kwarcowa i i.
pl. Marjacki 9 7166 **tel. 9-83**

A. PREVENDAR

LWÓW, PL. BERNARDYŃSKI 5

SALON FRYZJERSKI DLA PAŃ

Ostatnia nowość „Fuva" aparat do trwałej ondulacji włosów z gwarancją sześciomiesięczną

Spalenie włosów lub oparzenie skóry głowy absolutnie wykluczone

Po ondulacji aparatem **„FUVA"** włosy nabierają jedwabistej miękkości i stają się puszyste

Piękna fryzura jest największą ozdobą kobiety

Farbowanie włosów na wszystkie kolory jest SPECJALNOŚCIĄ FIRMY

1083

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

KSIĘGARNIA POLSKA

B. POŁONIECKIEGO

LWÓW, UL. AKADEMICKA L. 2 A

poleca ostatnie nowości:

HOCHE A. Niebezpieczny wiek mężczyzny. Lata przejściowe. . . . 4·— zł

GERLING R. Życie miłosne człowieka z uwzględnieniem wszystkich tajemnych chorób i ich zapobiegania. — Tłumaczył Dr A. Klęsk . . . . 7·— zł

Modne towary bławatne dla Pań

SUKNA MĘSKIE — poleca firma

STACHIEWICZ i ABRYSOWSKI

we Lwowie, Rynek l. 32 1045

Dr. Owiński
dentysta
Lwów, Halicka 21 — tel. 39-55

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 20 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU

KAPRYSY I FOCHY

„Kobiety są zawsze inne, zawsze inne..." — mówi z zachwytem Don Juan Rittnera. „Cóżby mi było po niej, gdyby nie miała kaprysów!" — mówił jakiś donżuan w życiu. Wynikałoby z tego, że kapryśność i nieobliczalność stanowi nielada wdzięk, może nawet koronę wdzięków kobiety.

Przypatrzmy się temu bliżej. Najpierw Rittner — to jest literatura. O jego „Don Juanie" mówią nawet, iż jest literaturą do kwadratu. Ale i inni pisarze, a nadewszystko poeci wykazują, a może raczej wykazywali sporo zapału dla tej kapryśności.

Wszelako — literatura nie jest życiem. Wiemy to dziś na pewno i nikt już nie godzi się z Wildem, iż życie naśladuje sztukę. Sztuka biegnie swoim torem, a życie swoim i djablo na tem traci, gdy zapatruje się na sztukę, zamiast patrzeć swego nosa.

Ci z mężczyzn, którzy entuzjazmują się kapryśnością kobiet, przenoszą pewne wartości ze sztuki do życia i z sądów nieodwracalnych czynią odwracalne. Osoba pełna wdzięku może być kapryśna, ale kapryśność nie jest *conditio sine qua non* wdzięku. Bardzo też komuś może być przyjemna kapryśność we flircie, a wysoce irytująca w pożyciu codziennem.

Cóż to jest kapryśność? „Serce, gdzie nie trwa myśl ani godziny", głowa, w której jedyną rzeczą trwającą stale jest „nieporządek miły". „Miły" mówi się oczywiście przez gentilezzę — w istocie taki stały nieporządek w mózgownicy może przyprawić otoczenie o ostry szał. Czyż można bowiem być pewnym dnia i godziny w pobliżu osoby, z której głowy, jak Filip z konopi, wyskakują najdziksze, najsprzeczniejsze z sobą pomysły? Dla której wytyczną jest własna fanaberja? Która nie uznaje i nie szanuje spokoju otoczenia?

Kapryśność łączy się najczęściej z egoizmem i ptasim mózgiem. Kapryśna zmienność zachcianek, bezwzględna, nieliczącą się z nikim i z niczem, nie może przecież mieć nic wspólnego ani z logiką, ani z prawdziwą dobrocią serca. „*Tel est mon bon plaisir.*" To było dobre w epoce absolutyzmu — dziś już trudno dać się tak bujać.

Z kapryśnością zaś łączy się — niezbyt nawet luźnie — zagadkowość. Reprezentuje ją nieodmiennie tajemniczo uśmiechnięty Sfinks bez zagadki. Typek, jak się zdaje, na wymarciu. A może to tylko piękne złudzenie?

Dobrze jeszcze, gdy ta rozkoszna kapryśność trafia w męża. Ma to, czem się zachwycał. Niechże skosztuje, jakie dobre. Czasem „kaprysy spełnia mąż stary" — jak u Asnyka. Któż wie — może właśnie jest od tego? Tak trudno poznać ludzkie przeznaczenie... Ale znacznie już gorzej, gdy takie nieokiełznane widzimisię biczuje dzieci. One nie wybierają sobie matki, tak jak mąż żonę. Muszą przyjąć co los im zdarzył i jęczą w „pedagogicznej" niewoli. Biedne, dręczone przez głuptasa dzieci!

A są tacy — mało uprzejmi i ogładzeni ludzie — którzy kaprysy nazywają poprostu... fochami. Ci widocznie nie biorą pod uwagę wdzięku, którym tak zachłystują się entuzjaści kapryśności. Widzą w niej tylko jakieś niesamowite miotanie się na wsze strony, w miarę tego, co znarowiona chętka przyniesie. Nie dostrzegają nic pięknego w tem, jeśli ofiarą, nieraz bardzo gorzką, swojego otoczenia — nigdy, broń Boże, własną! — zdobywa się coś, co w sekundę potem z „czarującym" uśmiechem rzuca się swojemu pieskowi (jak w owej legendzie bretońskiej o matczynem sercu), albo wyrzuca przez okno.

Ci, których nie stać na nic lepszego, niż na nazwanie rzeczy po imieniu, to są gbury — nieprawdaż?

Odpowiedzcie, urocze, nieobliczalne, wdzięczne kapryśnice!

LYNX

POWIEŚCI PACYFISTYCZNE

POWSTAŁE w ostatniem dziesięcioleciu powieści wojenne, z których najlepszą pod względem artystycznym jest niewątpliwie „Le Feu” Barbusse'a, odgrywają dobrze swoją rolę upiornych straszydeł, mrożących nazbyt rozgrzaną krew potencjalnego militaryzmu, nie zaspokajają natomiast dostatecznie tej potrzeby inteligentnego czytelnika, jaką jest szukanie w dziele sztuki także i przedmiotowej prawdy, niezależnej zarówno od chwilowego nastroju autora jak i od haseł, nastrojów i namiętności danego momentu historji. Nie, żebym kwestjonował wartość sztuki agitacyjnej, sztuki tworzonej dla pewnej idei, sztuki będącej niekłamanym a namiętnym wyrazem pewnej zdecydowanej, choćby fałszywej postawy autora wobec życia; o tej wartości rozstrzyga zawsze artyzm dzieła i wewnętrzny nurt prawdy samego twórcy. Ale sztuka taka pozostanie tylko dokumentem chwili, choćby nawet genjalnym, jako że najmilszą i najwyższą nie przemijającą rozkoszą jest obcowanie z prawdą ponadwiekową. Tem bardziej, że powieść z natury swojej nie powinna być fałszowanym, choćby dla najlepszych intencyj, obrazem zjawisk danego czasu, jej zadaniem nie — budzić protest beznamiętnej myśli, ale prowadzić ją za rękę w labirynty „rzeczywistej rzeczywistości”. — Dwa przedewszystkiem ujęcia przedmiotu w najlepszych powieściach wojennych Barbusse'a, Rollanda i Remarque'a domagają się polemiki, a mianowicie to, jakoby wojna była wynikiem pewnego ustroju społecznego, oraz jakoby patrjotyzm był przemijającą postawą duchową kończącej się, barbarzyńskiej jeszcze epoki ludzkości.

Że zmiana systemu społecznego w kierunku skrajnie demokratycznym nie zapobiega wojnie, zaczepnej nawet, widzieliśmy to niedawno, kiedy antymilitarystyczny rzekomo proletarjusz rosyjski walczył z Chińczykiem o przysłowiowy „wór bawełny”. Ustroje społeczne, ile ich było i będzie, od skrajnie „reakcyjnych” do skrajnie proletarjackich, to tylko różne formy rzeczy zawsze jednej i tej samej — to jest wyzysku i poniewierania ludzi słabszych przez silniejszych pod jakimkolwiek względem, wyzysku i gwałtu tak na wewnątrz jak i na zewnątrz danego kraju. Zawsze i wszędzie ten sam człowiek-drapieżca, tem drapieżniejszy, im większą ma siłę i większy — głód... Drapieżca we wojnie bez rozejmu, bez pokoju, bez końca. Bo rozejmem zamknie czasem paszczę armatom, różdżką nibyto pokoju rozwieje zponad miast wymarłych obłoki gazów trujących, ale wojna mimo to trwa dalej, wprawdzie nie taka efektowna tysiącami rac unoszących się w nocy nad okopami przed bitwą, nie taka fizycznie potworna darciem na krwawe ochłapy drżących w śmiertelnym lęku ciał, ale w istocie swojej równie nieubłagana i zła, kiedy potaniałą dzięki „konjunkturze” pracę pędzi się batem konieczności jadła i napoju w kopalnie nędznie opłacanego, śmiertelnego często wysiłku, kiedy w giełdowym młynie miele się na proch mienie najsłabszych i wierzących, kiedy dla dwóch ludzi przepychających się do tego samego kęsu stanowiska niema takiej podłości, żeby się jej nie chwycili w walce, kiedy często nawet tak zwana wysoka kultura nie może wytępić owej bestji drapieżnej w człowieku, i stoi bezradna na uboczu, podczas gdy on, aby zachłysnąć się osobistem szczęściem, nawet kochającą go osobę wali brutalnie w pierś, jeżeli mu jest tylko przeszkodą. — Życie naprawdę jest wojną nieustającą. A więc nie wina systemu, tylko natury naszej, całej dynamiki świata widzialnego, z której zresztą pochodzą wszystkie systemy społeczne. Usunąć wojnę można jedynie przez zmianę tej naszej natury. Czy to możliwe? Czy tego dokaże zmieniony ustrój? Ten, który miał tego dokazać — zawiódł. A więc?

Patrjotyzm nie jest także przemijającym, barbarzyńskim nastrojem maszerującej ku anielstwu ludzkości, jest potrzebą, namiętnością równie silnie i na zawsze wrosłą w samą treść organizacji naszego „ja”, jak i miłość płciowa. Miłość płciowa dąży do zachowania gatunku, patrjotyzm — do zachowania osobowości jednostkowej na podłożu osobowości zbiorowej. Instynkty to najpotężniejsze, bo służące zachowaniu bytu, jedynej żywej, niezaprzeczalnej wartości. Dlatego jeden i drugi najbogatszem źródłem wszelakiej twórczości naukowej i artystycznej. Dlatego oba źródłem największych — zbrodni. Aż przerażona zbrodniami idącemi z namiętności płciowej dusza chrześcijańska podniosła protestem postulat czystości, samokastracji żywego pędu człowieka, przeklęła „grzech” cielesny, schroniła się w zimne błękity ponadludzkiej a więc nieludzkiej świętości.

Na ziemi został jednak po dawnemu i pozostanie miłosny szał w radości, męce, bohaterstwach ofiary i okropnościach zbrodni.

Podobnie wylękniona potwornościami wojen płynących z patrjotyzmu dusza współczesności, przeklęła patrjotyzm grzechem, hańbą, zwierzęcością ludzkiej natury i ucieka w abstrakcyjne, najszlachetniejszym humanitaryzmem prześwietlone dale pacyfizmu, samokastracji plemiennej, zbiorowej. A na ziemi zostaje i zostanie po dawnemu patrjotyczny szał w radości i męce najwyższej, w bohaterstwach ofiary i okropnościach zbrodni.

Pacyfizm nie jest więc i być nie może programem politycznym, bo ten opierać się musi na konkretnych możliwościach rzeczywistego życia; pacyfizm jest religją, powtórzeniem w zmodernizowanej formie Chrystusowego protestu przeciwko powszechnej dynamice świata, potrzebą duszy wylęknionej. A więc także potrzebą, koniecznością, powietrzem, napojem i jadłem ludzkiej natury jak patrjotyzm i miłość płciowa. Tylko z innego wymiaru.

Który tu na ziemi jest tylko wentylem, umieszczonym w maszynie człowieczej poto, żeby nadmiar prężnych namiętności nie rozsadził budowy całej, aby się ludzie nie pożarli do kości jako wilki głodne.

I żeby człowiek miał na czem wypocząć po pracy w tęsknocie... Ale siłami pędnemi maszyny jest miłość i patrjotyzm. W miarę jak będzie rozszerzał się wentyl niebieski i para uchodzić zacznie ponad miarę, koła obracać się zaczną coraz wolniej, aż staną. Nastąpi Słowackiego anielstwo nie z tego świata i nie na tym świecie.

Otóż powieściopisarze pacyfistyczni patrzą na świat i nie widzą, słuchają i nie słyszą. Chcą zaaplikować narodom antypatrjotyczną czystość, tak jak fanatyczni asceci chrześcijańscy czystość seksualną — zamiast postąpić tak jak katolicki kościół, który sławi wprawdzie i wysoko podnosi wyrzeczenie się cielesnej miłości, ale równocześnie z tejże miłości czyni mądrze sakrament, by nie iść życiu naprzekór, a tylko regulować to co nieregularne gwoli pospólnego, nie jednostkowego dobra. To właśnie! Ująć patrjotyzm w rozumne karby, żeby hamować wybryki nieposkromionych temperamentów narodowych, ale nie stawiać świata dowolnem pociągnięciem pióra nogami do góry i udawać mądrego. Tem bardziej nie wolno z pacyfizmu, tak jak z każdej innej religji, czynić sobie narzędzia walki politycznej, narzędzia rewolucji socjalnej, która nie przyniesie nic nowego poza zmianą nazwisk wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy.

Zaś polski pacyfista, zamiast obrzydzać wojenkę Polakom, którzy do niej i tak nigdy się nie palili zbytnio, winien raczej iść z kijem apostolskim między otaczające nas zewsząd wilki i lamparty i nawracać ich dusze drapieżne.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

KOBIETA W ŚREDNIEM SZKOLNICTWIE MĘSKIEM

SPRAWY związane z naszem szkolnictwem w bardzo szczupłym zakresie przenikają do publicznej wiadomości, a jeszcze w szczuplejszej mierze stają się przedmiotem publicznych rozważań i dyskusyj. Skutkiem tego szkoła stanowi odgrodzoną od społeczeństwa i w sobie zamkniętą społeczność, wzbudzającą żywsze zaciekawienie rodziców i wychowawców jedynie w okresie końca roku szkolnego i związanych z nim cenzur.

Stan ten jest wielce szkodliwy i nienaturalny. Po tragicznym okresie szkoły zaborczej, nie dostosowanej przeważnie do potrzeb narodu i psychiki polskiej, powstał okres gorączkowej unifikacji szkolnictwa, starającego się równocześnie dostosować do nowych potrzeb państwowych, zmian społecznych, politycznych i psychicznych, wynikających z powstania własnego państwa, jak i zmian dokonanych przez wojnę światową. Bez przesady pracę tę możnaby nazwać gigantyczną, przerastającą siły jednego pokolenia, nawet wśród najbardziej kulturalnych i jednolitych społeczeństw, do których niestety nie mamy szczęścia się zaliczać. Skutkiem tego w budowie dokonywającej się wśród tak niepomiernie ciężkich i zmiennych warunków musiało zarysować się bardzo wiele braków, różnorodnych niedomagań i niedokładności, kryjących w sobie nietylko skutki doraźne, ale i następcze, mogące się ujawnić po twardej i niezawodnej próbie życia, trwającej jednak nieraz i lat kilka. Biorąc pod uwagę ogół warunków, wśród jakich dokonuje się budowa własnego, niepodległego szkolnictwa, możnaby niedomagania jego podzielić na dwie zasadnicze kategorje, zaliczając do pierwszej wszystkie nieuchronne i konieczne błędy, do drugiej zaś te, których możnaby uniknąć.

Spornem i niezawodnie zmiennem zagadnieniem będzie kwestja planów naukowych, podziału szkół, organizacji egzaminów, doboru i jakości podręczników; za bezsporne natomiast uważaćby można zagadnienie obsady stanowisk nauczycielskich. Z pośród wielu nasuwających się w tej mierze zagadnień, weźmy pod rozwagę bardzo aktualne zagadnienie obsadzania stanowisk w średnich szkołach męskich przez kobiety. Nie chodzi tu o nawrót do przestarzałych pojęć o kobiecie, przeciwnie, wszyscy jesteśmy dzisiaj zwolennikami jak najdalej idącego równouprawnienia płci, dążącego do oddania kobiecie tych wszystkich dziedzin pracy, w których mogłaby owocnie i pożytecznie pracować. Mimo to jednak trudno byłoby twierdzić, iż kobieta na wszystkich polach pracy może bezwzględnie dorównać mężczyźnie. Z natury rzeczy są pewne dziedziny pracy bardziej odpowiednie dla mężczyzny a inne dla kobiety, czyli że rozgraniczenie pola pracy leży w interesie zarówno kobiety jak i mężczyzny. Za taką uznać należy dziedzinę wychowania i nauczania.

Mimo najbardziej radykalne prądy wychowawcze, wychowanie chłopców i dziewcząt nie da się podciągnąć pod jedne i te same normy i nakazy. Różne funkcje rodzinne i społeczne, obydwu płciom przez kulturę przysądzone, wymagają też różnego, do ich spełniania, przygotowania. Na takim podziale pracy, dokonywanym przez kobietę i mężczyznę od czasów najdawniejszych, wyrosła różnica, jaka zachodzi w psychice kobiety i mężczyzny. Różnice te zaczynają się zarysowywać bardzo rychło, a w miarę rozwoju, występują coraz silniej, prowadząc do ukształtowania się dwu różnych typów psychicznych i intelektualnych, opartych o różne dyspozycje uczuciowe. Faktu tego nie zmieni istnienie nawet dużego procentu kobiet o męskich upodobaniach i właściwościach, jak i mężczyzn o kobiecych skłonnościach. Może najjaskrawiej zwykły te różnice występować w okresie płciowego dojrzewania chłopców i dziewcząt. Chłopcy w tym okresie odznaczają się zwykle spotęgowanemi skłonnościami swej płci, a więc pewnego rodzaju bezwzględnością w sądzeniu i postępowaniu, nieokiełzaną pierwotnością uczuć oraz surogatami siły i energji, krótko mówiąc: funkcyjnemi właściwościami swej płci. Dziewczęta w tym okresie zdradzają wybitne skłonności do pesymizmu, melancholji, marzycielstwa, nieokreślonych tęsknot macierzyńskich i wszelkiej innej wybujałości egzaltacyjnej. Cechą wspólną w tym okresie rozwoju płci obydwu jest pewnego rodzaju nieokreślone zamieszanie upodobań, pojęć, uczuć i myśli, objawiające się nazewnątrz posunięciami gwałtownemi i nielogicznemi, trudnemi dla otoczenia do znoszenia i definjowania. Dlatego młodzież płci obojga w okresie dojrzewania jest tak trudna do wychowania i nauczania i wymaga specjalnej, rozumiejącej i subtelnej pieczołowitości. Wielkim trudnościom przeciwstawiać się winno odpowiednio dobrane siły, zdolne do ich opanowywania i pokonywania. Stąd nie jest obojętny dobór nauczycieli i wychowawców dla chłopców i dziewcząt w trudnym okresie ich dojrzewania. Wychowawcy i nauczyciele winni w tym czasie rozumieć każde niemal drgnienie młodej duszy, w razie potrzeby kierować ją na drogę właściwą, a na każdym kroku być tej młodzieży powiernikiem i dyskretnym doradcą. Trudno przypuścić, by tak trudną pracę można było oprzeć tylko na, ewentualnie teoretycznej, wiedzy, a nie na osobistych przeżyciach i doświadczeniach. Kobieta nauczycielka wobec tych problemów wychowawczych musi stanąć bezradnie i nie będzie mogła swej roli tak spełnić, jak mężczyzna. Jeżeli chodzi o ścisłość, to możnaby stwierdzić, iż psychika męska w tej mierze jest bardziej elastyczna i bardziej wnikliwa od kobiecej, choćby z racji dziedzicznie czynnej roli w stosunku do kobiety, zaczem łatwiej może się wżyć w psychikę płci drugiej, niż kobieta.

A jakżeż to bywa w naszej praktyce szkolnej? Coraz częściej, z wyraźną, acz niedocieczoną, premedytacją, szkołom męskim średnim narzuca się do nauczania różnych przedmiotów nauczycielki. W wielu wypadkach wywołuje to bardzo kłopotliwy i obłudny stosunek pomiędzy dojrzewającym młodzieńcem a nauczycielką. Nieraz może zaistnieć bardzo niepożądane zabarwienie erotyczne. Obopólne, głęboko sięgające niezrozumienie zaostrza nieco wyzywające odnoszenie się do płci drugiej, zwłaszcza w okresie dojrzewania. Tak znamiennej dla tego okresu szorstkiej i kategorycznej pewności siebie, należy przeciwstawiać zdecydowany autorytet intelektualny i poniekąd fizyczny, oparty o szeroką podstawę jak najdalej posuniętego rozumienia i wyrozumiałości. Nie trudno sobie wyobrazić, jak niepomiernie kłopotliwa byłaby w takich wypadkach rola subtelnej kobiety, w ogromnej większości słabszej co do opanowania intelektualnego i uczuciowego od mężczyzny. Istota słabsza nie zdoła opanować istoty silniejszej, zwłaszcza w fazie jej najtrudniejszego naturalnego rozwoju.

Dla całości niezbyt wesołego obrazu dodajmy, iż młodzież, chowana w atmosferze nadmiernej admiracji dla wszelakiego bohaterstwa sportowego i wojennego, nie posiada szczególnego zachwytu dla nauki i wiedzy. Dlatego przy małym wpływie osobistym nauczyciela jedynym argumentem zachęty pozostaje nota. Skutki niedługo pozwolą czekać na siebie!

Rok rocznie męskie szkoły średnie zaludniają się coraz to młodszemi nauczycielkami. Jednocześnie ustala się zasadę, ściśle w praktyce stosowaną, że w szkołach żeńskich winny nauczać wyłącznie nauczycielki. Ponadto obsadza się posterunki wizytatorów męskich szkół bardzo często kobietami, nie mówiąc o tem, iż Ministerstwo roi się od kobiet w dziale szkolnictwa, nietylko żeńskiego. Zjawisko to tem dziwniejszego nabiera posmaku, że w dzisiejszych systemach nauczania kładzie się tak silny nacisk na osobisty wpływ nauczyciela, rezygnując niejednokrotnie dla jego osiągnięcia z wcale niedrugorzędnych wartości nauczania formalnego i materjalnego. Jakaż to młodzież wyrośnie, kształcona w gimnazjach przez młodociane nauczycielki, zwłaszcza w chwili obalenia wszelkiego dogmatyzmu wychowawczego na korzyść, tak zawodnych i lotnych, metod heurystycznych? Mało doświadczone i jeszcze mniej udyscyplinowane umysły nauczycielek z konieczności będą się ślizgały po powierzchni wszelkich zagadnień i problemów, nie wyzyskując ani możliwości tkwiących w samej nauce, ani możliwości wychowawczych, tkwiących w rozległej, acz bardzo trudnej, sferze osobistego oddziaływania.

Wnioski stąd proste. Jeżeli kobiety nie nadają się na nauczycielki do męskich szkół średnich, co było przedmiotem naszych rozważań, to tem mniej nadają się jeszcze na trudne i odpowiedzialne stanowiska wizytatorów tych szkół. Byłoby rzeczą pożądaną usłyszeć wyczerpujące argumenty obrońców tego systemu, wówczas możnaby było definitywnie sprawę rozsądzić.

OUTSIDER

MALARSTWO PII GÓRSKIEJ

PIA GÓRSKA ma przeszło lat pięćdziesiąt i jest bardzo młoda... Jest młodsza od niejednej dwudziesto-



PIA GÓRSKA „BAŃKI MYDLANE"

letniej adeptki ze Szkoły Sztuk Pięknych. We wszystkiem: w obrazach, w sądach o sztuce pełnych bezpośredniego, głębokiego zapału, w ruchach giętkich i żywych, w uśmiechach i spojrzeniu tkwi jej tajemnicze źródło młodości.

Wtedy gdy u innych siły twórcze słabną, są na wy-



PIA GÓRSKA „MOTYL CZY PIÓRO"

czerpaniu, gdy zapał i entuzjazm matowieją — Pia Górska zaczyna jakoby dopiero żyć. I mówi o tem z radością głęboką, nienasyconą:

— Jestem dumna z tego, że pod koniec życia, jakgdyby zrozumiałam... jego początek. Cieszę się, że w okresie gdy inni poprostu kończą, ja — zaczynam. Bo to, do czego doszłam, jest dziełem i wynikiem lat ostatnich.

W wytwornej pracowni przesyconej, atmosferą starej, poważnej kultury rodzinnej, wśród Chełmońskich, Kotsisów, Mehofferów i Malczewskich, wśród antycznych, szacownych mebli, dobrze się rozmawia o sztuce. Przytulna kanapa zaprasza do wygodnego podgięcia nóg, a o zmierzchu, o tej chwili zanim zapłoną w dole na Foksalu światła — można ze złoconych obrazów Pii Górskiej wyczarowywać sobie wizję mistycznego quatrocenta włoskiego.'

Jest tu „Pochód trzech króli" i „Dziewczyna z dzbankiem", ze złoconego tła występuje zamyślony uśmiech „Madonny" i stara się zwyciężyć zbrukany dniem powszednim sceptycyzm widza, tam znowuż w ramach k t o ś z uśmiechem zadumanym waży „Ciężar motyla", kładąc na drugą szalę... pióro ptasie. Świat prawie oderwany od brutalnej rzeczywistości — chwilami świat bajki?

Życie Pii Górskiej szło zaprawdę ścieżką dziwną. Wychowana w artystycznej kulturze rodowej, otoczona wielkimi ludźmi musiała przejąć ich entuzjazm, ich umiłowania.

Na wieś zjeżdżali malarze nie byle jacy: Chełmońscy, Mehofferzy, pierwszych lekcyj udzielał Eligjusz Niewiadomski...

Ale potem malarstwo poszło w kąt. Rzeczywistość żywa ze wszystkiemi swojemi troskami, z potrzebami dnia codziennego przemówiła do artystki swoim głosem prostym, surowym.

Stała się ochroniarką, wszystko oddała dla dzieci, przez przeciąg lat dwudziestu pięciu zakopała się w pedagogji po uszy.

Z tego czasu pochodzą trzy książki Pii Górskiej: „36 p o g a d a n e k r e l i g i j n y c h", „S ł u g i b o ż e", „W n a s z y c h k o ś c i o ł a c h".

O pewnym momencie życia opowiada Górska bardzo dowcipnie:

— Potrzebowałam pieniędzy na założenie ochronki. Ponieważ miałam szerokie stosunki, proponowałam znajomym portrety po... 50 rubli. No i zaczęłam fabrykować ogromne oczy, ładne nosy i usta w serduszko... Było tego dużo. Ach! droga pani, cóż to były za straszne rzeczy! Poprostu zabawne. Ale szło przecież o moją pedagogję, dla której należało wszystko poświęcić.

I dopiero pod koniec życia pomyślałam poważnie o sztuce. Zaczęłam studjować „naprawdę". Byłam uczenicą Krzyżanowskiego, potem Pruszkowskiego. Zaczęłam życie, gdy inni kończą, i jestem z tego dumna.

Sztuka mi dała dużo szczęścia. Szukam. A szukanie jest podobno przywilejem młodości... Może dlatego jest mi tak dobrze —

Wyrosłam z impresjonizmu, ale moja natura była jak wąż, który zmienia skórę. Patrzeć na świat poprzez wizję bajki, bo szorstki, brutalny naturalizm tak ziębi! Do pogody dążę. Stylizuję. Odnowa archaizacji, jeśli można tak powiedzieć. Interesuje mnie skrót malarski. Jest to może wyraz syntezy? A pozatem szukam ciągle, szukam zawsze na nowo rytmu kompozycyjnego. Bierze mnie przedewszystkiem człowiek. A mój stosunek do niego jest uczuciowy. L u b i ę l u b n i e, — tak się to da określić. W każdym razie c z u j ę, że dopiero zaczynam.

— Jest pani pierwszą kobietą, która z takim entuzjazmem przyznaje się do swoich lat...

— Jestem z nich dumna. Bo te moje lata są właściwie bardzo młode. To jest podobno rzadkie.



PIA GÓRSKA

Pia Górska w rzędzie malarek polskich zajmuje wysoką rangę. W r. 1929 została przez Amerykę zaproszona na wystawę razem z Olgą Boznańską i Pautschem. — Dzienniki amerykańskie nader pochlebnie wyrażają się o talencie Pii Górskiej. Wystawy w Chicago, Waszyngtonie, Pitsburgu przyniosły artystce pełne uznanie. Również na w y s t a w i e poznańskiej otrzymała medal. „S t a s i e k z l u l k ą" także został odznaczony brązowym medalem przez „Zachętę" w roku 1928. Malarstwo Pii Górskiej jest przedewszystkiem umiłowaniem wczesnego renesansu z dążnością do nowoczesnej stylizacji. Wysokie poczucie barwnej plamy, subtelność wyrazu, wytworność i lekkość ruchu przy dojrzałości kompozycyjnej — oto zalety tej kulturalnej malarki. Niektórych zdumiewa w jej obrazach plama złota.

— Przyszła raz do mnie jakaś pani. Proszę mi zdradzić tajemnicę swojego złota. Jak pani to robi? Albo proszę mi dać parę lekcyj.

— Nie mam żadnych tajemnic, sekretów i nie mam czego nauczać. Moją plamę złotą nie maluję, ale lepię. Poprostu tak jak dzieci na choinkę złocą jabłuszka i orzechy.

— No tak, pani jest bardzo młoda. Pani chwilami żyje jeszcze dzieciństwem — —

— Chociaż mam lat... wiele nad pięćdziesiąt. Piszę teraz również „Wspomnienia o Chełmońskim", które się ukażą w firmie Hoesick. To jest także moja młodość. Bo to działo się dawno, ale we wspomnieniach dzieje się dzisiaj.

Złote plamy na obrazach nabierają w mroku dziw-



PIA GÓRSKA „TRZEJ KRÓLOWIE"

nych blasków, świecą jak wizje quatrocenta, ale już w dole na Foksalu zapalają światła i mija czar zmierzchu wiosennego. Myślę w tej chwili, że mija wszystko, może tylko nie mija młodość — jeżeli istnieją takie kobiety jak Pia Górska.

KAZIMIERA ALBERTI



PIA GÓRSKA „MALARKA DZBANÓW"

INAUGURACJA TEATRU SCHILLERA WE LWOWIE

LWÓW wrócił na karty historji teatru dzisiejszej doby. Z ostatniego szeregu wysforował się na czoło nowoczesnej twórczości teatralnej w Polsce. Skupił znowu — po wielu latach, dziesiątkach lat — jej oczy na sobie, stał się ośrodkiem żywej, czynnej, poszukującej akcji artystycznej, wytworzył atmosferę gorącego zainteresowania, rozpalił wokół siebie żar polemiczny. Stanowi więc pierwszorzędną, godną uwagi pozycję kulturalną.

Doniosły ten fakt wiąże się z objęciem kierownictwa artystycznego przez Leona Schillera. Imię o treści bogatej. Imię, które zawiera w sobie historję pełną wielkich usiłowań: „Patiomkin" Micińskiego, „Achilleis" Wyspiańskiego, „Róże" i „Dzieje grzechu" Żeromskiego, „Samuel Zborowski" Słowackiego — wszystko miana zupełnie rewelacyjnych, przełomowych poczynań: tylko najważniejszych — i historję wielkich walk: o nowoczesność teatru polskiego, jego pozycję europejską, przeciw stężałemu naturalizmowi scenicznemu i teraz ostatnio o nawrót do bezpośredniego, głębokiego, współczynnego związku z rodzącem się życiem. To, że się mówi o Schillerze sprzecznie, gorąco i ciągle, jest jednem ze znamion wielkości nielicznych: najbardziej żywych i najbardziej niepodległych. Wielkości, które mają siłę przeboju przez ustalony kształt życia i sztuki, mają odwagę przeciwstawienia się tradycji, inwencję poszukiwania nowości. Śledzenie nieuprzedzane ich dróg — raz trafnych, raz błędnych — stanowi powszechny obowiązek kulturalny.

Charakterystycznie dla aktualnego momentu swego rozwoju Schiller zainaugurował nowy sezon lwowski usiłowaniami o wspólnym rodowodzie kulturalnym: inscenizacją dwu powieści — „Zwycięstwa" Josepha Conrada i „Dzielnego wojaka Szwejka" Jarosława Haska. Jest to gest zrozumiały na tle współczesności życia i współczesności teatru. Życia — o tętnie przyśpieszonem, o realizmie wyrazistym i gwałtownej przemianie niedawno obowiązujących jeszcze wartości. Teatru — pragnącego owo tętno na rytm swój przełożyć, wiernie odtworzyć realną teraźniejszość i współdziałać twórczo w powstawaniu nowych treści. Do tego brak mu formy odpowiedniej, bo tkwiący w normach arystotelesowskich dramat nie odpowiada jego potrzebom. Proces rozbijania tradycyjnej techniki dramatycznej widoczny jest w wielu przejawach, żeby przykładowo wskazać działalność Pirandella, czy Niemców: Tollera i Kaisera. W obecnej chwili brak pożądanej, zadowalającej formy scenicznej teatr zaspakaja połowicznie — dramatyzacją utworów powieściowych. Jest to prąd dający się obserwować w teatralizmie powszechnym, tłumaczący się jasno chęcią sprostania nowym pragnieniom, nowym zadaniom. Idą one nie w kierunku fikcji artystycznej, ale realnego faktu, nie tego co może być, ale tego, co jest i ukazanego w kształcie takim, w jakim się rzeczywiście staje, a nie — stawać się może. W następstwie dokonywa się odrzucenie techniki aktowej, która rozkłada akcenty przebiegu zjawiska życia harmonijnie: w bieg regularnie rosnący i opadający, a zastępuje się tę technikę szybkim, zmiennym kalejdoskopem scen, kreślącym barwną, niespodzianie zmienną, nieregularnie rozchwianą linję rzeczywistego życia. W tych dwu usiłowaniach, nierównej zresztą miary, Schiller ukazuje się znowu jako poszukiwacz teatru żywego, poszukiwacz porozumienia się przez teatr z dobą, w której żyjemy.

„ZWYCIĘSTWO"

Inscenizacja „Zwycięstwa" Conrada* wyniosła na scenę, a przez scenę w życie polskie jedną z najosobliwszych książek tego fenomenalnego pisarza, którego tragiczna kultura polska ofiarowała Anglji, a przez Anglję — światu. Poczytność Conrada w Polsce nie dorasta ogromnej jego popularności, zwłaszcza w krajach anglosaskich. Ale u nas po raz pierwszy w Polsce i poza Polską scena pokazała przedziwną, gorzką olimpijskość wędrowca po wszystkich morzach globu, tragiczną, zrezygnowaną wielkoduszność tej osobowości — samotnej w losie swoim, niepokojonej nieprzeniknioną tajemnicą życia, dźwięczącej najtkliwszą czułością dla tego, co ludzkie, arcywrażliwą chłonnością obdarzonej wszystkiego, co żywe, uchwytującej jego zasadnicze sprzeczności, jego ważenie się wśród przeciwieństw dobra i zła, piękna i brzydoty, i ustalającej wśród tajemniczych, sprzecznych, nieuchwytnych żywiołów bytu pozycję człowieka bohaterską: w bezwzględnej odpowiedzialności za czyny, w obowiązkowości ascetycznej i bezkompromisowości. Wszystkie zasadnicze pierwiastki psychiki i sztuki Conrada zespalają się tu w dzieło wysokiej dojrzałości, głębi wstrząsającej i świetnego, posłusznego woli artyzmu. W dzieło-wyznanie o sobie: o człowieku i życiu — wyznanie nie bezpośrednie, ale ukryte w szerokiej fabule egzotycznej, w pewnej sumie zdarzeń zewnętrznych.

Axel Heyst, „człowiek pełen uniwersalnej wzgardy i niewiary", samotnik na bezludnej wyspie ukryty przed kłębowiskiem życia i tam zostaje dosiężony przez nie i wciągnięty w kłębiący się wir. Musi czynić dobro powodując jednocześnie ekspansję zła — oddalając cierpienie od jednych ludzi, innym je bezwiednie zadaje. Conrad okazuje, że ucieczka od życia jest niemożliwością i jest grzechem. Jego bohater ponosi klęskę, ale zadaje też klęskę życiu swojem niezłamaniem, swoją konsekwencją dotrzymaną do końca. Sens ostateczny jest objawieniem siły i wielkości życia przy równoczesnem ukazaniu heroicznej postawy, jaką człowiek może i powinien wobec niego zachować. To jest treść właściwa rozprowadzona w szerokie przedstawienie epickie. Wszystko inne jest akcydensem służącym temu przedstawieniu. Dramatyzacja lwowska w znacznym stopniu przesunęła akcent z istoty problemu powieści na jej elementy uboczne. Zaciemniła w proporcjach dramat osobowości. Stało się to albo bezwiednie, albo w następstwie trudności inscenizowania tego, co zawarte jest w szerokich omówieniach, analizach, szczegółowych obserwacjach. Jeśli zachodzi ten drugi przypadek — próba inscenizacyjna traci racje logiczne. Jej pierwszem przykazaniem jest — dotrzymać najgłębszej wierności duchowi dzieła.

W ślad za tem zasadniczem rozminięciem się z Conradem poszły inne — znowu świadome lub przypadkowe, przedewszystkiem w charakterystyce postaci, z których ani jedna niemal nie przypadała dokładnie do koncepcji Conrada. Były takie, które odstępstwo od niej tłumaczyły wymaganiami sceny lub indywidualnościami odtwórców (najlepsi w widowisku: *Heyst*-Strachocki, *Lena*-Malanowicz, *Ricardo*-Chmielewski), ale i takie, które sprzeczały się z Conradem książki i z Conradem sceny — *Jones* i *Schomberg*. Może w stopniu największym zbliżyli się do kreacyj powieściowych: *Schombergowa*-Dobrzańska i *Davidson*-Polański.

Mimo poczynionych zastrzeżeń, mimo widocznej dorywczości przygotowania Schillerowska inkarnacja sceniczna Conrada stanowi osiągnięcie wysokiej miary. Tem ciekawsze, że autor sam zamyślał o scenicznej wersji „Zwycięstwa" i podobnoć zostawił ją w rękopisie

„SZWEJK"

Nieporównanie wyżej pod względem cyzelacji inscenizatorskiej i reżyserskiej stanęło wystawienie „Dzielnego wojaka Szwejka" według powieści Haska,* czeskiego humorysty i satyryka. Dominowało też nad „Zwycięstwem" wniknięciem w atmosferę utworu, w ducha, który je przenika. Utwór Haska — czterotomowa zbieranina facecyj, powiązana jedną postacią opowiadacza i niemal jedynem spoiwem mechanicznego pobudzenia pamięci: „to mi przypomina..." lub „w swoim czasie", nie przedstawiająca żadnego artyzmu kompozycji ani stylu — stanowi jedno z najosobliwszych dzieł współczesności, chyba jedno z tych, które będzie reprezentowało nasz czas, jak średniowiecze reprezentuje Dante, a romantyzm m. i. Goethowski Werter. W tych zestawieniach niema bluźnierstwa, jeśli się zważy czem dla humanitarnego poczucia jest przeżyta wojna i sposób, w jaki to poczucie nastawione na satyrę, pamflet i persyflaż bierze na niej bezlitosny odwet. W tej książce wcieliła się najwyższa, zabójcza, choć roześmiana wulgarnie, po rabelaisowsku — nienawiść wojny.

I od innej strony ujęte jest dzieło Haska rewelacją literacką — jako problem typu psychicznego i jako rodzaj humoru. Ustalano filjacje historyczno-literackie postaci jego bohatera, ale wydaje się pewne, że ta ważąca się gdzieś na granicy jasnowidzącej mądrości i tępej głupoty kreacja ludzka jest czemś bez precedensu. Wyraża ją oxymoron: genjalny półgłówek. Podobnie charakter humoru wcielonego w postać Szwejka jest czemś swoistem. „Cesarsko-królewska komisja uznała mię za ck. idjotę, wobec czego uznała mię za zdatnego do wszelkiej służby rządowej" — mówi w pewnem miejscu „dzielny wojak" i w tym nonsensie zawiera szyderstwo o najwyższej rozpiętości. Nadto akcja satyryczna Haska jest poddawaniem wszystkości zjawisk militaryzmu i wojny odczynnikowi świadomej czy nieświadomej siebie głupoty. Jest stałem kontrastowem zestawianiem głupoty pojedyńczego zwykłego prostaka, handlarza psów z głupotą uświęconych, umownych, otoczonych pozorem świętości i powagi zbiorowych działań. W tem kontrastowaniu wychodzi obnażony absurd pewnych form życia. Wojna jest kretyńskim wybrykiem, a jej inicjatorzy kretynami albo pospolitymi drabami.

Schiller był tym, który pierwszy w Polsce wprowadził Szwejka na deski teatru łódzkiego. Oparł się na przeróbce Broda i Reinmana, ale usunął obce Haskowi momenty: przesłaniające sens właściwy i stępiające ostrze satyry politycznej. Potem „Szwejk" przeszedł zmienne koleje w Krakowie (Trzciński), w Poznaniu (Zegadłowicz), we Lwowie (Czarnowski), w Warszawie (Hemar), która obeszła się z dziełem Haska najsamowolniej. W dodatkowem opracowaniu Hemara zamieniło się ono w wodewilową bzdurę, zatraciło wszelkie akcenty głębsze. Nowa inscenizacja jest rehabilitacją sceny polskiej wobec utworu Haska, jest najbliższa jego artystycznych intencyj. Choć (może zbędnie) zachował się wątek erotyczny, spełniający rolę kośćca dramatycznego.

Szwejk-Znicz wcielił nie bez reszty, ale wiernie koncepcję Haska, choćby w tem bezczelnem próbowaniu świętości wszystkich banałów, w tem wyzwoleniu się od sugestji powagi i nienaruszalności nonsensów życia. Artysta niepospolity, o fenomenalnej zdolności wczuwania się w charakter odtwarzanej postaci. Na jego poziom nie wzniósł się nikt. Schiller w współpracy z art.-mal. Jarockim pokazał swoją wspaniałą inwencję inscenizacyjną. Widowisko pełne barwy, życia, świeżości.

TYM. TERLECKI

* Joseph Conrad Korzeniowski: *Zwycięstwo*, 18 scen w układzie dramatycznym Leona Schillera. Przekład Anieli Zagórskiej.

* Jarosław Hasek: *Dzielny wojak Szwejk, jego przygody* w 3 aktach. Układ sceniczny M. Broda i H. Reinmana. Przekład J. Witlina. Reżyserja Leona Schillera.

AURA WYLEŻYŃSKA

Z DUSZĄ TWOJĄ NA RAMIENIU

LISTY Z HISZPANJI

2) z oryginałów wiernie przełożone

Avila, 1 kwietnia

Cher Ami — Drogi Przyjacielu!

Z Burgos do Avili jechałam przez wielkie, dobrze uprawne pola, zbożem zasiane, zasadzone burakami, na których pracują osły, Rosynant ciągnie postępowy pług, a woły noszą jarzma, — bo w każdym kraju co innego jarzmem się nazywa, — przez zielone równiny gdzie pod strażą w płachty, ale z godnością, udrapowanych pasterzy pasą się merynosy, wśród lasków pinjowych, oliwnych gajów i winnic, a potem kamiennemi przestrzeniami, drogą między skałami wykutą, via Valladolid, miejsce śmierci Kolumba i miejsce pracy Cervantesa...

Od średniowiecznego, surowego a miłosiernego Chrystusa, dążyłam do uczonej, egzaltowanej a świętej Teresy, Karmelitanki Bosej.

Wjechałam w Kastylję, najbardziej rdzennie hiszpański kraj. Tu bowiem zawiązany został węzeł, który zjednoczył prowincje w jedną całość, mieszkańcy półwyspu dotąd język główny, w odróżnieniu od różnych narzeczy, nazywają — castellana.

Jeśli teorje Taina gdzie i kiedy z pożytkiem zastosować można, to w Hiszpanji. A także twierdzenie Emersona, iż charakter jest przeznaczeniem. O ile, wyjątkowo, przeznaczenie charakteru nie urobi...

Patrząc na ten kraj, widzi się zupełnie jasno czem byli, a może czem nawet do dziś są ci ludzie, których życie tu rozpoczęte, nieraz daleko i w innych rozwija się warunkach. Gdy na skałach ktoś się urodził, coś z duszy tych skał w jego duszę wejść musi.

Nieurodzajna ziemia hartuje dumę i daje godność — pogardy cierpienia...

Mezeta Kastylji to wyżyna: tylko błękitem zaludnione niebo i tylko naga ziemia. Lasów tu niema i drzew, któreby łagodziły światło i temperaturę. Żadnych przejść. Dzień jasny, albo noc czarna się czyni. Jak zimno w zimie być musi! Jak w lecie gorąco! Jak palą stopy do białości rozgorzałe kamienie! Jak lodowe są głazy, gdy do białości zmarzną! Mówi się: dziewięć miesięcy zimy, trzy miesiące piekła!

Uczucia też żadnych pośredniości nie znają: miłość albo nienawiść...

Zrozumieć nie można, że kraj tak ponury tyle ma słońca... Kto na ludzi spuszcza promień wesela? Kto uśmiech im daje i pogodę? Kto pieśni gorycz odbiera? Jak ze skał niespodzianie a obficie wytryska woda aby użyźnić huerty, tak z duszy, na twarz, aby szczęście przynieść innym, uśmiech wytryska...

Avila położona na wysokim, granitowym bloku. Zdaleka, z dworca, oko widzi, czego nigdy nie widziało. Zdaje się, że wogóle w Hiszpanji wszystko — jedyne w świecie.

Avila jest syntezą Kastylji. To klimat moralny godny świętej Teresy. Tu nietrudno być bohaterką i wizjonerką. Tu łatwo mistykom osobiste mieć z Bogiem stosunki.

To jest miejsce, gdzie codziennie umierać można z rozkosznej o śmierci myśli. To jest miejsce, gdzie na sobie dokonywać można inkwizycji. Gdzie żądza cierpienia większa być musi od żądzy szczęścia...

Co do mnie, choć o końcu nie myślę jeszcze, — może jednak bliski już czas gdy zacznę o nim myśleć obojętnie? — wiem, że nie boję się ani życia ani śmierci. Nie boję się nawet męki. Ale jak święta Teresa z Marją Magdaleną sporubym nie wszczynała o to, kto więcej razy przed Chrystusem - kochankiem w golgockim leżał pyle, albo na ziemi, kamiennym głazem. Choć znam, jak Święta — Palmy — harfy i cudą — i dziwy. Tylko pewno nieco inne...

Życie w Avili dotąd jest pod znakiem Świętej Teresy. Harinos de Santa Teresa del Nińo Jesús piszą na młynie, suknię jej, białą, obciążoną złotem, haftuje się na pudełkach od cukierków, na wzór jej sandała, chodzeniem po stromych uliczkach miasta, wytartego, który dziś w muzeum spoczywa obrosły kwiatami, popielniczki czynią i zabawki, dzieci noszą jej i jej boskiego oblubieńca imię. Święta, która w Avili urodziła się, wychowała, cierpiała i zmarła, męskość swej natury zużyła na wiekopomne dzieła mądrości, a kobiecą swą naturę na dzieła miłosierdzia karmelickiego.

Piętno własne, wielką, w barokowe ozdoby wyciętą pieczęcią, położyła na dawnych kamieniach. A przecież prócz sławnej pisarki, pierwszej hiszpańskiej „doctory”, miasto to, dziś znikome, głośne było w dziejach tego kraju. Na zawsze zaś godne uwagi zamknięciem swem w średniowiecznych, dotąd świetnie zachowanych, murach. Nieprzeliczone, posiekane dróżki mieszczą w sobie prócz wiekowych gmachów, najstarszych nietylko na półwyspie Pirenejskim kościołów romańskich, elektrycznem światłem oblane kooperatywy i garaże...

A także dlatego Avila dumną być może, iż z wyżyn jej wież, hiszpańskich i arabskich, wież, które wydają się być nadbudową skał z dodaniem zbliska przeniesionych głazów, roztacza się widok godny Szwajcarji. Góry te oblegają miasto drugiem, dalekiem pasmem obronnem, w tej chwili pokrytem jeszcze śniegiem.

Dzisiejszy autor powiedziałby: „Jak wielkie ciastka ubrane białą śmietaną.”

Czy widzi Pan Avilę i świętą Teresę?... Tę, która dzień cały króluje na ołtarzu, w klasztorze Karmelitanek Bosych?

Avila, 1 kwietnia, 11 w nocy

¡ Mi amado! — Mój ukochany!

Jestem trochę w niebie, a trochę w piekle. Pewno dlatego, że zbyt blisko Teresy. Płonie ona przez wieki nieustającym ogniem miłości...

Czytam nie w Świętej żywocie, tylko w notesiku, który mam przy sobie. Zapisałeś tam największą jej tęsknotę, kiedyśmy to raz — jak dzieci — „wierszyki wydawali”. Jej własnemi przemówiłeś słowami, ja temi, w które mój poeta myśli Glozy przełożył.

Vivo sin vivir en mi
Y tan alta vida espero
Que muero porque no muero...

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żałobą
I tem umieram że umrzeć nie mogę.

Może niedobrze pamiętam? Ale chwilę tę pamiętam wiernie, jak każdą z Tobą przeżytą.

Zdjął mnie nagły lęk... Szalona obawa... A jeśli nieprzyjaciel zaczajony w górach, dziś w nocy, oblegnie miasto? Mury jego bardzo są wytrzymałe i długo bronić się będą mogły. Dzwony kościołów zagrają na trwogę, Święta z ołtarza wstanie na ich alarm. Bardziej w pomoc boską, aniżeli ludzką, wierząca, bardziej w zwycięstwo boskie, aniżeli ludzkie, ufna... Mosty jednak zwodzone Mężna spuścić dozwoli, łuczników Mądra na basztach osadzi, wody gorącej garny lać każe na oblegających. Gruchną strzały, że zatrzęsie się bocianie gniazdo na wieży starego kościoła siedzące.

Obrona triumfem skończyć się musi. Ale jak długo trwać będzie?

Kiedyż Ciebie zobaczę?

Ucieknę jutro rano, skoro świt, zanim przednie straże zbliżającego się dojrzą wroga...

LALKI JANINY PETRY-PRZYBYLSKIEJ

MÓGŁBY KTOŚ z pewnem lekceważeniem, a nawet i niechęcią, przejść do porządku dziennego nad takim drobiazgiem jak lalka.



Bo i cóż może obchodzić człowieka dojrzałego lalka? Co najwyżej obudzi się może na jej widok jakieś odległe i zblakłe wspomnienie dzieciństwa, w którem nic już innego się nie kryje, jak tylko lekki smętek rzeczy i spraw bezpowrotnie minionych. Ale nie o te lalki ze wspomnień idzie, tylko o lalki, będące tworem prawdziwego artyzmu, prawdziwej sztuki twórczej. Prawdziwą sztuką tchną bowiem te nikłe istoty, pełne smaku, upodobania lub jakiegoś egzotycznego sentymentu, którym chętnie człowiek dzisiejszy odgradza się od troski dnia codziennego. Podkreślmy z naciskiem słowo: sentymentu egzotycznego, ponieważ człowiek dni naszych, sprzykrzywszy sobie nieustanne przebywanie w szarych granicach codzienności, tak jednostajnej i obfitującej, co najwyżej, w objawy śmieszności lub upokorzenia, chętnie z tęsknotą wolnego ptaka przelotnego ucieka w świat nieznany, pełen fantastycznych cudów, kształtów niewidzianych i przygód najmniej spodziewanych. W takim świecie panuje swoboda, wolna od wszystkiego, co smuci, niepokoi lub wzbudza lekceważące politowanie, tak niekiedy bolesne, i wolność niespętana żadnym nakazem chwili. Co więcej, w tym świecie spełniają się nieustannie dziwy i cuda wszelakie, nie przesłonięte żadnym oparem niewiary lub sceptycyzmu. Kto raz choćby tylko zdołał uchylić zasłony zakrywającej wszystko, co leży poza granicami sztuki rozumowanej, chytrej i przebiegłej w swym suchym intelektualizmie, a męczącej w swej wyrozumowanej mądrości, ten zrozumie, jak wielka dziedzina wszelakiego artystycznego odczuwania kryje się poza granicami świadomości i trzeźwości estetycznej. W takim pozakrytycznym świecie żyją lalki Janiny Przybylskiej.

Żyją, ponieważ artystka wyposaża je jakimś niezrozumiałym kunsztem, we własne i przebogate życie zadumy, lekkiej ironji, sentymentalizmu lub jakiejś, dojmującej realizmem, prawdy. Te przedziwne twory szarych godzin, chwil przesłoniętych tęsknotą lub tysięcznych niezdefinjowanych uczuć, żyją życiem własnem, samoistnem, rozgrywającem się poza granicami naszej mądrej, codziennej świadomości, i dlatego budzą w nas pożądliwą ciekawość lub coś, coby nazwać można obopólnem porozumieniem i zrozumieniem. Z taką lalką można sobie porozmawiać językiem bez słów i doskonale się porozumieć w sprawach i rzeczach zazwyczaj niepojętych, zasłoniętych dla naszej krytycznej, codziennej świadomości i mądrości pajęczą zasłoną rozumu i trzeźwości. Nieskalany świat poezji, szczerej, nieubranej w żadne słowa, przenośnie, niezbrutalizowany najdrobniejszym szeptem rodzącego się uczucia. Ale oto tam na wygodnej kanapie rozgwarzyły się jakieś dziwne figurki. Prym zda się wieść w tej niesłyszalnej pogawędce jakiś blady Pierrot, o dużych skośnych oczach, ocienionych bujnemi rzęsami, zapatrzony w księgę safjanową, opartą o atłasowy, lśniący niepokalaną białością kostjum. Niewidzącemi oczyma zapatrzony w książkę, z bezwładnie opadającą, wydłużoną czarną ręką, na której lśniąco perli się fantastyczny klejnot, zapewne wspomnienie jakiejś tysiącznej i pierwszej przygody miłosnej; siedzi pogrążony w zadumie i nawet nie zwraca uwagi na swoje otoczenie najbliższe. A jest ono niezwykłe!

W niedbałej, tanecznej pozie przegina się gibko jakaś blada księżniczka, a może i królewna z za siedmiu rzek i gór, i omdlewającej, niespełnionej miłości gestem zda się umierać z tęsknoty. Nieopodal skrada się czarny rycerz, powiernik czarodziejów i guseł, sam zapewne czarnoksięskiemu oddany rzemiosłu, i z pod wzniesionej napół przyłbicy spogląda tęsknie ku rozmarzonej królewnie z za siedmiu gór i siedmiu wezbranych rzek. Tam znowu chyłkiem czai się gromadka małych, brodatych i psotnych karzełków,... coś knują dobrotliwego, bo oto ukazują w wesołym uśmiechu, jak perły błyszczące, zęby przezierające poprzez bujne osiwiałe wąsiska i brody. Doświadczeni poszukiwacze skarbów ukrytych, posiadacze jaskiń jaspisowych i kryształowych wzięli na siebie coś ze skarbów bezmiernych, które połyskują na ich barwnych aksamitnych kaftanach i strojach. W innej grupie dwóch





wychudłych rycerzy skrzyżowało, w słabym blasku poświaty księżycowej, dwa zabójcze miecze. Walka. Zapewne o jakąś królewnę z bajki. Może o tę zatęsknioną, w niemym bezruchu, za czarem wyśnionej a niespełnionej miłości? Walka nieubłagana na śmierć aksamitną lub jedwabne życie. Broń nie sieje blasków złowrogich, ni chrzęstem przeraża tych widzów przedziwnych z krainy snu i marzenia, których zwołała na te dziwowiska rozrzutna wola niezwykłej Artystki. Jakżeż miło i dobrze w tym świecie istot cichych, wiernych, pozbawionych wszystkiego co smuci i goryczą napawa! Piękne i smętne lalki, chodźcie na chwilę pogawędki o czemś, co może nigdy nie istniało i może nigdy się nie spełni, co nie jest życiem, ni śmiercią, tylko jakiemś wydarzeniem z innego wymiaru i nie z tego świata, który nas znudził i rozczarował. Oddamy się niefrasobliwemu marzeniu ludzi cierpiących i bardzo zmęczonych trudem dnia codziennego, pragnących za wszelką cenę chwili zapomnienia i złudy. Nieprawdaż, pójdziemy razem za malachitową bramę prawdy i doskonale będzie nam wspólnie, wam lalkom i mnie zmęczonemu człowiekowi...

W taki świat wprowadzają lalki Janiny Przybylskiej. Trudno ustosunkować się do nich krytycznie, trudno mierzyć je takiemi lub innemi kryterjami estetycznemi, choć zasługują na miarę prawdziwego artyzmu i prawdziwej szczerej sztuki. Trudno, działają bowiem tak sugestywnie, że nawet i nie spodziejesz się jak się dostałeś w ich niewolę. A wówczas, zamiast myśleć o nich krytycznie, zaczynasz bawić się ich światkiem, współżyć z ich frasobliwemi główkami, zaglądać w ich oczy niesamowite, jednem słowem: brać pełny i żywy udział w ich lalkowatem jestestwie. Czyż podobna pamiętać w takiej chwili o ich postaciach z barwnych uwitych jedwabiów, o ich bajecznych klejnotach, świecidełkach i całym przepychu ich stroju fantazyjnego? To sztuka wielkiego wyrafinowania, wymagająca pełnego zrozumienia, która nie leży zawsze na linji wyostrzonego krytycyzmu i koniecznego poczucia rzeczywistości. Może raczej należy wobec takich tworów wyzbyć się wszelakiego sceptycyzmu, zapomnieć o swych latach, troskach, obowiązkach i zejść na fosforyczną ścieżynę ułudy, po której z taką nieomylną wiarą i pewnością błądziliśmy w naszem, bezpowrotnie minionem, dzieciństwie! Ach, jakżeż już odległem i dalekiem!

Ale znowu uwodzą mnie lalki Przybylskiej na bezdroża i, zamiast uzasadniać ich piękno i wartości artystyczne, zaczynam w ich ślady wstępować, szukać w dzień blasków księżyca, rozglądać się za roześmianymi karłami, drżeć o losy tęskniącej królewny i życzyć bezkrwawego wyniku walki dwu rycerzom, utkanym z tęczy i tkani pajęczej. Nie smuć się, czarnoręki Pierrocie, zaczytany w księdze rozwartej, i nie zabarwiaj na kolor twarzy Murzyna swego życia, ty śmieszny groteskowy Murzynie z wybrzeża bananów i kości słoniowej.

Ale, oto spójrzmy w inny świat. Jacyś dawni znajomi, jakiś zbójnik z krzaczastą brodą i kręconemi wąsiskami, obok zadumana sierotka, ówdzie czarownica i jakiś kolorowy głuptas wiejski z bajecznym kogutem za pazuchą. Barwy surowe, doskonale zharmonizowane z odpowiednim gestem zadzierzystym, zawadjackim, jak krakowiak, mazur lub oberek. Barwy pienią się, przelewają w nadmiarze, to znowu na chwilę łączą się w zespół dopełniający lub bezczelnie kontrastujący. Kipi, wre, temperamenty grają i choć brak basetli, to jednak czuć rytm monotonny, rwący do tańca te kolorowe postaci, do tańca zapamiętałego i szalonego. Cała pierwotność i surowość świata ludowego zda się przebijać z tych zamaszystych figurynek.



Takiem to pełnem, indywidualnem życiem tchną lalki Przybylskiej. Z pełnem poczuciem krytycznej odpowiedzialności powiedzieć można, iż nie posiadają tworów sobie podobnych, same jednak są wyposażone we wszelkie właściwości prawdziwych arcydziełek, pełnych wyrafinowania i do ostateczności doprowadzonej subtelności artystycznej. Opisywać się nie dadzą, trudno prawić o ich pięknie, trzeba je widzieć i często oglądać, by nauczyć się cenić ich lalkowate duszyczki i umieć współżyć w ich ułudnym, a tak pociągającym, świecie fosforycznego czaru i marzenia. Kto tą drogą pójdzie, ten w całej pełni oceni ich piękno i niecodzienny artyzm. Trzeba tylko umieć patrzeć bez przesądów i uprzedzeń...

STANISŁAW MACHNIEWICZ





LISTY Z PARYŻA

MATCH PŁYWACKI FRANCJA-WĘGRY

Lipiec

W PONIEDZIAŁEK w wesołej bandzie, poszliśmy na koniec świata. W przekwitłych krzakach, okalających cmentarz „Père Lachaise" tłumiła się młódź ku uczczeniu zdobycia Bastylji. Posąg Rzeczpospolitej na placu de la République przybrano artystycznie i odświętnie: na spiżowych nogach, ramionach, rękach i nosie owej damy pozawieszano mnóstwo lampionów, drucianych wieńców, kwiatów i girland. A z każdego kąta, jak Paryż długi i szeroki, z każdej tuby, z każdej rury nieomal, wypływały po dwie naraz melodje narodowe z nad dolnego Zambezi i Bramaputry, w takt których miętosiły się już od 48 godzin rozradowane pary. Doszliśmy tak szczęśliwie do bulwaru Menilmontant.

W piscine des Tourelles miał się odbyć oddawna zapowiedziany match Francja-Węgry, cel naszej wędrówki i mego listu. Było nas przeszło dziesięć tysięcy rozentuzjazmowanych widzów, wpatrzonych w prześliczną, błękitno-szmaragdową taflę przezroczystej jak kryształ wody, w której pływały tymczasem dwie żaby, wrzucone przez kogoś złośliwego. Na początek ulewny deszcz przemoczył nas w pięć minut do nitki. Dopiero, kiedy wspaniałe słońce oświetliło całą nędzę i gadająca rura, bez której dziś nic się odbyć nie może, wyskrzeczała swe lamenty, wyłowiono żaby, i cały świat pływacki zastygł w oczekiwaniu. Przeżyliśmy chwile nadzwyczajne, niedoopisania, gdy pośród nieludzkiego wrzasku ze wszystkich trybun, Węgier Barany przepłynął w finale 100 m w 59 i $^{1}/_{4}$ sekundy, bijąc amatorski rekord świata i dotykając rekordu boskiego Weissmüllera. Pobity przez niego o całą sekundę białonogi Francuz Taris, zdołał jednak pobić rekord Francji. Wyliśmy wprost z niezrozumiałej uciechy; ludzie płakali i całowali się. Na najwyższym maszcie wywieszono sztandar węgierski z poprzestawianemi kolorami, a blaszane rury zaintonowały przez pomyłkę hymn jugosłowiański.

Po najrozmaitszych popisach, turniejach i skokach wązkobiodrych rusałek, nabili Węgrzy Francuzów w waterpolo. Gra szalenie podniecająca polega mniej więcej na tem, że jeden zawodnik siada drugiemu na kark i trzyma go tak długo pod wodą, póki tamten nie zesztywnieje. Inni tymczasem zabawiają się piłką; jest ona zresztą tylko pozorem, a sędzia wygwizdywany przez walczących i publiczność — kiwa czem tylko może i stara się zagłuszyć rury śpiewające marsz z Aidy. Na zakończenie sztafetę 800 m wygrali oczywiście też Węgrzy...

Pełne emocji popołudnie to należało więc do wyłącznie węgierskich.

Wieczorem, na kolację potrawka z kota, nazwana szumnie królikiem, smakowała jak prawdziwy gulasz ugotowany z patrjotycznem nabożeństwem w Keczkemet czy innem Hodmezövasarhely, a w nocy śnił mi się Arpad I. brodaty wódz Magyarów.

Dziś przez obmokłe okna patrzę w świat jak z łodzi podwodnej. Co za melancholja! Przypominają mi się nieśmiertelne dla ich głębi słowa Mac-Mahona: „woda! woda!" (wypowiedział je spostrzegawczy prezydent przyglądając się zatopionym miastom i wsiom w czasie straszliwej powodzi w r. 1875). Jeśli Hipokrates miał słuszność doszukując się tak wielkiego wpływu klimatu i pór roku na ludzkość, zamienimy się niebawem w nereidy, oceanidy, syreny, ryby i homary.

RÓŻE

Sierpień

W STAREJ BAJCE perskiej gromił mędrzec przekupnia róż: „Wyzbywasz się kwiatów za złoto, lecz cóż piękniejszego od kwiatów kupisz za to złoto, głupcze!" Pięknie mówią mędrcowie perscy ze starych bajek, poczem wzlatują w chmury na zaklętym koniu albo dotknięciem laski magicznej wyczarowują stoły, uginające się pod ciężarem pełnych mis i dzbanów. My jednak, przekupnie róż, za uzbierane w męce dukaty kupujemy szarą rzeczywistość.

Wracam z Bagateli. Śnią mi się jeszcze cienie, kolory i krople rosy. W pobliżu Sekwany, na skraju lasku Bulońskiego, otoczona murem i żywopłotem zdaje się być bajką dostępną dla wybranych. To też kiedy wzruszeni zbliżamy się do bramy, razi nas wąsaty cerber w okienku kasy wejściowej. Oczekiwaliśmy anioła. Znajdujemy się w raju kwiatów. Na lewo biały pałac uśpiony i pusty — mieszkają w nim duchy — dokoła terasy, gazony, drzewa i krzewy sprowadzone z końca świata i tysiące, tysiące róż. Razi nas też może betonowe łożysko strumieni. Na brzegu, zamiast żurawia duma egzotyczna kaczka. Podziwiałem ją długo: Natura obdarzyła kaczki oczyma umieszczonemi dokładnie po obu stronach głowy. Co za nadzwyczajne rzeczy muszą widzieć te istoty, co za szerokie horyzonty! Pomyśleć, że kaczka widzi dwa razy więcej wspaniałości tej ziemi niż my! Powinniśmy się tem pocieszać w niepowodzeniach.

Na skraju rdzawa sosna obdarta z gałęzi wysoko i kępa wyprężonych malw przypominają Polskę. Spojrzenie szuka białej ściany dworu. Gdzie niegdzie na skrzyżowaniach, w zielonych wnękach, pośrodku wzorów i deseni ustawiono figury i wazy zaśniedziałe. Jakieś straszliwe stworzenia pożerają żywcem bronzowego jelenia. Tłuste amorki gimnastykują się w marmurowych obłokach. Wiatr kładzie na trawniki srebrne światła i mroki. Na tle dusznego, teatralnego nieba odcinają się kunsztownie prowadzone drzewa i krzewy, kule, piramidy, arkady. W wilgotnych kątach, w cieniu starannie wylepionych gór, skał i zwietrzałych głazów pachną mchy i zioła. Cmentarne powoje oplatają pleśniejące zwaliska. Pokutować w nas musi jakaś romantyczna dusza nietoperza. Czytałem wczoraj entuzjastyczną pochwałę architektów: zawdzięczamy im ruiny. Poezję zmurszałych ścian, oślepłych okien i pękniętych kolumn.

Przed świtem niewidzialna służba wysypała aleje białym żwirem. Pusto tu przez większą część tygodnia. Bagatela świątecznie przystrojona oczekuje czyjegoś przyjścia; jakiegoś Boga lub hrabiego d'Artois. My unikamy jej ścieżek niewiedzieć dokąd prowadzących, męczą nas rozległe, niepotrzebne trawniki. Czujemy się nieswojo wobec tych niesamowitych kwiatów, pachnących i oszałamiających. Jest tu zbyt czysto, nieruchomo, prostolinijnie. Dziwi nas nadmiar życia w wytyczonych granicach. Dalje, chryzantemy, czerwone i różowe gladjolusy, szerokolistne Nelombo i nenufary (według prawideł „langage des fleurs" oznaczają: jesteś w miłości doniczego), lilje i orchideje, olbrzymie magnolje i wreszcie gdzie spojrzeć róże i róże bez końca, w tysiącach odmian, nazwane imionami księżniczek, gwiazd i promieni słońca. Wszystko ma swe miejsce wyznaczone i żelazną tabliczkę. Róże kwitną i przekwitają oddziałami: pułk za pułkiem, armja za armją w szpalerach przez całą długość parku. Odkryłem dziś tajemnicę; nie wie o tem nikt, nawet ogrodnik: schowane za szerokiem źdźbłem japońskiej trawy czają się dwie niezawisłe, prostackie stokrótki, niesymetrycznie i bezimiennie. Pochylone na brzegu którejś kompanji ku najbardziej czerwonym różom, uczą je rzeczy niebezpiecznych. Mówią im o polanach i łąkach, o wolności i rozbrojeniu. Podają sobie róże wiadomość. Śni im się już noc, gdy księżyc je tak wysrebrzy, że pozapominają własnych barw, gdy zwołają się ze wszystkich szpalerów, łuków

i krat i banda niezwyciężona, pijana rosą i swobodą wyruszy na zdobycie świata. Tylko jedna, najwspanialsza, samotna pośrodku klombu pochyliła główkę operloną nisko ku ziemi. Wiatr zerwał i rozrzucił kilka płatków; złociły się w trawie jak resztka zachodu słońca. Nazwano różę: „soeur Thérèse". W świetlanej ciszy południa zwidziała się siostrze Teresie jesień.

Za czasów św. Franciszka z Asyżu, Ludovicus klerk średniowieczny zakochał się w rozkwitłej róży. Opisał smutne dzieje swego miłowania w najdziwniejszej powieści. Ciemnota i grubiaństwo późniejszych pokoleń spaczyły myśl pierwotną nadając dziełu sens symboliczny. Oschłe serce człowieka nie pojęło romansu.

ZYGMUNT LITYŃSKI

NA PRERJACH KANADY

PRERJE —

Od stalowo połyskujących wód Pięciu Wielkich Jezior, popod granitowe stopy splątanych, niebotycznych łańcuchów Gór Skalistych na zachodzie i hen, na północ, aż po mroźne wybrzeża Zatoki Hudsońskiej — rozesłały się prerje.

W sercu kontynentu rozlane morze równin i zieleni.

Niezmierzone królestwo łąk, wiatru i obłoków.

— — — — — — — — — — — — — — —

Prerja —

Dokąd wzrok przez czyste powietrze doleci — równina jeno i równina — pusta, zielona, gładka, bez kresu w blasku słonecznym wyciągnięta. Dokąd wzrok doleci, trawy tylko i trawy wysokie, suche, bujne, szumiące, od żaru słonecznego gdzieniegdzie dołem wyzłocone.

Nad bezbrzeżnem rozfalowaniem stepu niewiarygodnie wyolbrzymiona kopuła niebios, opadająca stromo ku krańcom.

To już — wszystko. Nie dojrzysz nic więcej — niebo, step i jeszcze szlak na horyzoncie, gdzie obłoki całują się z trawami.

To już jednak — wszystko.

Niebo urasta w tym krajobrazie do znaczenia, jakiego niema w żadnym innym. To nic, że nie zamajaczy na niem ni drzewo, ni wzgórze, ni ramiona krzyża, ni zrąb odległego domostwa. To nic, że rozżarzonej kuli słońca, która wszędzie gdzieindziej sama oznajmia się blaskiem, tu, zatopionej w błękicie, szukać trzeba po niezmierzonem sklepieniu. Ale wszędzie gdzieindziej niebo jest ponad nami, tu zaś — jest wkoło nas i zagubionych na płaskości ziemi zazdrośnie zamyka nieprzerwanym pierścieniem ze wszystkich stron.

W słoneczny dzień gorący błękit tego nieba, tu i ówdzie sprószony zwiewnym obłokiem, mieni się głębokim, szczególnym blaskiem, zbliżonym do blasku szmaragdu, jakby od morza traw padał nań zielony cień. Ale w inne dnie, gdy zajdą nań chmury i gdy ścieżałe, smutne opadnie nisko nad łąki — zdawaćby się mogło, że bladolicy, ogromny anioł pochyla się nad stepem i skrzydła z obłoków skrzyżowawszy gdzieś hen popod widnokręgiem, kołysze na nich zlekka wklęsłość ziemi niby zapomnianą misę ofiarną pełną ziela.

— — — — — — — — — — — — — — —

W okolicach, gdzie prerja jest zupełnie płaska, i gdzie kraj nierzadko wydaje się nawet wklęsły, woda wypełnia płytkie zagłębienia i świeci szklistą powierzchnią jak oczy wśród traw. W gęstych zaroślach nad brzegami tych stawków gnieździ się ptactwo stepowe. Tu ciężkim lotem przypada spłoszona kura prerjowa szara jak kuropatwa, z obwisłemi skrzydłami i czubkiem na małej głowie, typowy ptak tych stepów. Tu z przybrzeżnego sitowia, jak kule wypływają na środek rodziny dzikich kaczek, znacząc na mulistej wodzie złotawy ślad.

Nie wszędzie jednak prerja jest doskonale wyrównana i trawą tylko zarosła. Prerja Manitoby faluje się lekko i na horyzoncie widać cieniutki, błękitnawy, niemal zwiewny pasek dalekich wzniesień. Wśród traw zaś znaczy się raz po razu ciemniejsza kępa krzaków, a suchotnicze, zaledwie nad krzaki wyższe, rzadkie laski niedorosłych drzewek, głównie brzózek i wiotkich, o białawych pniach manitobańskich klonów, zarastają całe przestrzenie. Laski te perjodycznie ulegają pożarom, po których ze zrudziałej ziemi sterczy plątanina zwęglonych kijków. Prerja Saskatchewan'u natomiast nie rodzi już nawet skarłowaciałych drzew, ale niskie, puszyste krzaki. Krzaki te często usychają i sterczą potem wśród trawy wiązkami prętów, które w słońcu nabierają barw rdzy, czerwieni lub fioletu.

Podobnie więdniejące drzewka stepowe dają czarowne niekiedy efekty. Zdarzyło mi się np. widzieć w Camrose w stanie Alberta gaj więdniejących brzózek. Trudno powiedzieć, czy wysuszył je żar słoneczny, czy je opalił oddech dalekiego ognia, niemniej liście tych drzewek nabrały połyskliwej barwy złota, jakby je zamieniono na blaszki najczystszego metalu. Nie sztywniały jednak, ale jak jedwab miękkie zwieszały się falą wokół srebrnych pni, drżąc i migocąc w ciepłym powiewie, który szedł od stepu, aż powietrze dokoła zaczęło przebłyskiwać złotem. W ciszy letniego południa, nad błyszczącą plamą stawku u stóp złoty gaj stał tak w bezszelestnej muzyce liści na tle głębokiej zieloności prerji jak zaklęte zjawisko, które wiatr przywiał i za moment zmiecie.

A jednak — nie zwiał; podeszliśmy bliżej: nie była to fata morgana, choć ta się zdarza na prerjach.

Zupełnie bezdrzewna, idealnie wprost wygładzona, niekiedy białem kwieciem przysypana jest prerja w południowej Albercie i tylko obłoki zwieszają się nad nią, zachodząc pionowo jeden za drugi, jak draperje w teatralnym suficie.

Hej, prerja — przestronna to arena i bardzo głęboka w czystem powietrzu; jakże często stawała się ona widownią eposu tych stepów!

Gromady Indjan przelatywały przez nią na dzikich koniach jak wicher przed wiekami w pogoni za stadem stłoczonych, oszalałych w ucieczce bawołów. Step grzmiał od tętentu, wiatr zrywał się z pod kopyt i zwiewając w tył długie końskie grzywy, wygładzał miedzianym wojownikom otoki z czerwonych i niebieskich piór nad czołami, strój wspaniały i zaszczytny, na uroczystość walki z bawołem zawdziany i jak skrzydła husarskie spływający nisko na plecy.

Ale Indjanie zapędzili się na ścieżki, które im wskazał biały człowiek, a owe zawodły całe plemiona na nieustanne łowy, do kraju, gdzie nie zabraknie bawołów. Więc Indjanie znikli z czystego widnokręgu prerji, a po nich wpadł na nie cowboy.

Cowboy jest synem i rycerzem tych stepów, jak kozak nad Morzem Czarnem. Jak kozak, jest mistrzem konia i panem przestrzeni, nie żołnierzem jednak, lecz pasterzem i hodowcą na służbie u bogatych właścicieli „ranch". Przez całe lato pędzą cowboye wspaniałe stada bydła z wielkich „ranch" i żyją z niemi na prerjach, aby potem jesienią pognać je do miast na jarmarki na huczne i ludne „stampede".

Pochód stada przez stepy — nie taka to prosta rzecz. Raz po raz od zbitej tłuszczy zwierząt odrywa się jedna i druga niesforna sztuka, którą cowboye na koniach zapędzają do stada. Często jednak nie pomaga krzyk, nie pomaga bicz, ani w kilkoro złożony sznur lassa. Uparte zwierzę ucieka coraz dalej w prerje. Wówczas cowboy traci cierpliwość. Z ust pada przekleństwo, ręka sięga po zwój lassa zwieszony przy siodle, druga puszcza uzdę. Jeździec piersiami przypada do grzywy wierzchowca. Dziki koń prerjowy, puszczony wolno, pręży się nad trawami w szalonej pogoni, aż w pewnym momencie jeździec wyprostowuje się niespodziewanie i nad karkiem uciekającego zwierzęcia jak strzała wypuszczone przez powietrze zamigoce lasso. I naraz rogi rozpędzonego byka pęta dziwna siła. Zdarty znagła w miejscu, miota przez moment bezsilnie łbem — ale cowboy już nadlatuje. Błyskawicznym ruchem ręki zwinąwszy nad przegubem drugi koniec lassa, obiema dłońmi chwyta wyprężoną linę i poczyna ciągnąć ją ku sobie, aż na obnażonem ramieniu węźliste muskuły pęcznieją jak grona od wzbierającej siły. Byk z całej mocy zapiera się racicami w ziemię, ale mimo to sznur skraca się coraz bardziej, zwierzę przysuwa się coraz bliżej, aż wreszcie jedno szarpnięcie — i oddychając głośno z wysiłku, w jedną dłoń schwyciwszy uzdę, cowboy zawraca konia ku stadu, a za nim na sznurze uległe podąża spokorniałe, ujarzmione zwierzę.

Cóż jednak, jeżeli zawiedzie lasso? Jeżeli wypuszczona powtórnie, śmignie tylko zwierzęciu przed oczyma i rozbudzi jego wściekłość? jeżeli, łysnąwszy krwawem spojrzeniem, byk pochyli złowrogo rogaty łeb i zatoczywszy niespodzianie koło, runie na zaganiacza?

Jednem szarpnięciem wtedy jeździec i koń jak zrośnięci odskakują w tył, ustawiając się bokiem do nadlatującego zwierzęcia. Odrzucone lasso śmignie przez powietrze, a cowboy chwyta za bicz. Od nagłego skoku tylne kopyta końskie zarywają się głęboko w trawę, uda drgają w przysiadzie, dumną szyją przegina się gwałtownie, szukając równowagi; cowboy kolanami wparty w brzuch koński zwisa pionowo na grzbiecie, i zanim nadlatujący byk zdoła łeb podnieść do ataku, z wysokości wzniesionego konia spada mu jak ogień na kark i oczy grad wściekłych, niespodzianych uderzeń. Zaskoczony, rozjuszony byk na ślepo zwraca wściekły łeb na jeźdźca. I zaczyna się taniec. Zdzierany uzdą, z rozdętemi chrapami, przedniemi nogami przebierając w powietrzu, wierny koń wyczuwa najmniejsze poruszenie pana i niespodzianym skokiem unosi go w ostatniej chwili z drogi napastnika. Rogi zwierzęcia raz po raz trafiają w próżnię. Raz po raz jeździec i koń znajdują się mu na tyłach i grad zapamiętałych razów siecze pochylony kark. Raz po razu byk odstępuje nieco, aby z półkola, z nowym rozmachem runąć na człowieka. I tak gra trwa.

(D. n.) M. PATKANIOWSKA

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski Powieść, 29

Gdybym ją musiała pokochać bodaj teraz, byłby to kres wszystkiego. Musielibyśmy zaprzestać. Modliła się do Boga, by dał jej nie pokochać Madzi.

W dzień, natężona praca gospodarska nie pozwalała na rozmyślania. Z następną zaś nocą i następnym świtem znów spływało na nią jej bezpieczeństwo.

4.

Z kośbą uporano się w ostatnim tygodniu czerwca, a w pierwszym tygodniu lipca wróciła Madzia.

Ale czy jest Madzia, czy jej niema, pracę folwarczną wykonywać trzeba, i Anna bardziej niż kiedykolwiek czuła, że to ją tłumaczy. W dniu porachunków, jeśli taki wogóle nastanie, niech ją sądzą na podstawie jej pracy. Dzięki jej miłości do Jerrolda, duży majątek trzyma się kupy i prosperuje; dzięki jego miłości do Anny, Jerrold staje się stopniowo znakomitym gospodarzem; dzięki niej znalazł najstosowniejsze dla siebie zajęcie; dzięki niej Anna stała się niezastąpioną. Sumienność, z jaką pełniła swe obowiązki, zmierzała ustawicznie ku doskonałości. Doglądała nastawiania każdego pługu, traktora i siewnika, by się upewnić, że ludzie i maszyny pracują na poziomie jak najwyższej wydajności. Wymagała skutecznej pracy od wszystkich, własną energją zarażała innych. Zmuszała ziemię do wydania jak największego plonu, nie dopuszczała do trwonienia słomy, siana, ziarna, nawozu; umiała też ryzykować, wydać znaczne kwoty na inwestycje czy inwentarz, gdy przypuszczała, że się to opłaci.

Jerrold uczył się w jej doskonałej szkole. Pracę Anny mogli swobodnie badać sąsiedzi. Niktby nie mógł twierdzić, że się z niej kiepsko wywiązała. Gdy objęła fermę, ta była zagospodarowana dobrze, bądź co bądź jednak drugorzędnie; Anna ją podniosła do pierwszorzędności. Był to obecnie jeden ze wzorowych folwarków w hrabstwie, słynny zwłaszcza z inwentarza żywego. Sir Jan Corbett z Underwoods, p. Hawtrey z Medlicote oraz major Markham z Wyck Wold szczerze wyznawali swój podziw. Jej moralność — mówili — jest może trochę niepewna, lecz gospodaruje bez zarzutu. Nieco oporniej przyznawali także, iż udało jej się zrobić człowieka z tego młodego niedołęgi Colina, choć zarazem sądzili, że go wysłano za granicę, ażeby go oddalić od Anny Severn. Nie wątpili również, że Jerrold, skoro tylko będzie mógł uczynić to bez skandalu, pozbędzie jej się.

Aż tu zaszły dwie rzeczy. W lipcu wróciła Madzia Fielding; widziano ją rozjeżdżającą po okolicy w towarzystwie Anny Severn. W tymże miesiącu umarł stary Sutton i Barrow Farm oddano Annie, utrwalając w ten sposób na stałe jej tu pobyt.

Anna odmówiła przyjęcia fermy od Jerrolda w darze. Nastawał zagorzale.

— Zgódź się, Aniu. To jedyna rzecz, jaką ci mogę ofiarować. I cóż to jest ostatecznie? Zachwaszczone dwieście akrów.

— To straszeczny kawał gruntu, Jerroldzie. Nie mogę go wziąć.

— Musisz. To fraszka po tem wszystkiem, czegoś dla nas dokonała. Radbym ci oddać wszystko co posiadam: Wyck Manor i wszystkie folwarki aż do ostatniej rzepy, każdą krowę i świnię. Lecz tego zrobić nie mogę. Ty zaś mówiłaś często, że masz ochotę na Manor Farm.

— Chciałam ją wydzierżawić, Jerroldzie, mój złoty. Nie mogę pozwolić, byś mi ją darowywał.

— Dlaczego? Uważam to za niegodziwość z twojej strony.

Na to przeszła przez pokój Madzia z kwiatami w ręku; Jerrold przywołał ją na pomoc.

— O co się kłócicie? — zapytała.

— Ano, chcę jej oddać Barrow Farm, a ona się wzdraga.

— Naturalnie. Cały folwark! Jakżebym mogła?

— Myślę, że mogłabyś, Aniu. Strasznąby mu to sprawiło przyjemność.

— Ona jest zdania, — szydził Jerrold, — że może w dalszym ciągu harować na nas, ale my broń Boże nie powinniśmy nic dla niej zrobić. Otóż twierdzę, że to niegodziwość.

— Zupełnie słusznie, moja złocista. To samolubstwo. Tak okropnie chce mu się ci ją dać. Nie będzie szczęśliwy, jeżeli odmówisz.

— Ależ bójcie się Boga, toż to cały majątek! Duży dom i dwieście akrów. Czyż podobna przyjąć tego rodzaju rzecz? I tybyś tego nie zrobiła na mojem miejscu.

Cienkie białe paluszki Madzi igrały z ostróżkami w biało-niebieskiej wazie chińskiej. Jej szafirowe oczy uśmiechały się do Anny z ponad kwiatów.

— Nie chcesz go więc uszczęśliwić?

— Nie w ten sposób.

— A jeżeli to jedyny sposób...?

Wyszła z pokoju, wciąż uśmiechnięta, po nowe kwiaty. Spojrzeli po sobie.

— Jerroldzie, ja nie mogę znieść, kiedy ona tak mówi.

— Ani ja. Ale widzisz, ona rzeczywiście pragnie, żebyś wzięła tę fermę.

— Czyż ty nie rozumiesz, czemu nie mogę jej wziąć — od c i e b i e? Bo jesteśmy kochankami.

— To właśnie ułatwia...

— To właśnie uniemożliwia. P o d a r o w a ł a m ci się. Nie mogę nic przyjąć. Wyglądałoby to na zapłatę.

— Plugawy pomysł, Aniu.

— Tak. Ale wszyscy tak będą myśleli. Zaczną się dziwować, czemu u licha postąpiłeś w ten sposób. A nam nie trzeba, by się ludzie dziwili. Od zdziwienia niedaleka droga do odkrycia.

— Rozumiem. Może masz słuszność. Przykro mi.

— Już i tak czapka na nas gorze. Nie pojmuję, jak Madzia tego nie widzi. Nie widzi jednak i nie zobaczy. Nigdy nie uwierzy, że my...

— A ty chciałabyś, by zobaczyła?

— Nie, lecz to tak doskwiera, ta jej ślepota... Jerroldzie, myślę, że to właśnie nasza kara — ta Madzina ufność. To najgorsze, co nam mogła wyrządzić.

— No, skorośmy ukarani, to jesteśmy kwita. Nie myśl o tem, Anusiu. Niech Madzia nie staje między nami.

Porwał ją w objęcia i ucałował, gwałtownie i tak szybko, że nie zdążyła się oprzeć.

Lecz Madzina słodycz nie dokonała jeszcze najgorszego. Miała jeszcze pokazać, czem jest i co potrafi.

5.

Minął lipiec, minął sierpień; było po żniwach. We wrześniu Jerrold pojechał do Londynu, by spędzić koniec tygodnia u Eliota, Anna zaś przeniosła się do Madzi, której nieprzyjemnie było zostawać samej w dużym domu. Tak to przez te wszystkie tygodnie Madzia sprowadzała ją do siebie.

W czwartek zaś, poprzedzający przybycie Anny, Madzia złożyła wizytę pani Hawtrey w Medlicote, a pani Hawtrey zaprosiła ją na śniadanie w poniedziałek. Madzia odparła, że niestety przyjść jej się nie uda, gdyż w poniedziałek będzie u niej gościła Anna Severn. Na to pani Hawtrey rzekła, że żałuje niezmiernie, ale zaprosić Anny Severn nie może.

A Madzia zapytała swym łagodnym głosem: — Dlaczego?

A pani Hawtrey odparła: — Dlatego, proszę pani, że nikt tu Anny Severn nie zaprasza.

A Madzia znowu: — Dlaczego?

Wówczas pani Hawtrey powiedziała, że nie chce się wdawać w szczegóły, ile że sprawa jest arcyniemiła, dość, że n i k t nie przestaje z Anną Severn. Jest zanadto sławna.

Na to Madzia powstała w swem kruchem dostojeństwie i oświadczyła, że nikt nie zna Anny lepiej niż ona i jej mąż i że niema na świecie drugiej kobiety tak bezwzględnie z a c n e j jak Anna, i że niestety ona, Madzia, nie może podtrzymywać znajomości z tymi, którzy nie chcą znać Anny. Zaczem opuściła progi pani Hawtrey.

Za powrotem Jerrolda, gdy zostali wieczorem sami, Madzia, różowa z zadowolenia, złożyła mu sprawę z tych odwiedzin.

— A więc wysłałaś całemu krajowi ultimatum?

— Tak. Uprzedzałam cię, że zerwę ze wszystkimi, co zerwali z Anną. Teraz już wiedzą.

— Ale to znaczy, Madziu, że zerwiesz ze wszystkimi. Poza mną i Anną będziesz najzupełniej osamotniona tutaj.

— Wszystko mi jedno. Oprócz ciebie i Anny nikogo mi nie trzeba. A jeśliby mi się zechciało, możemy sprowadzić znajomych. Moc sympatycznych ludzi przyjedzie najchętniej. Eliot może ściągnąć swą uczoną czeredę. Rzecz sprowadza się do tego, iż obejdziemy się bez Corbettów i Hawtreyów.

Poszła nagórę, poleżeć trochę przed kolacją. Po chwili Anna wyszła do Jerrolda, siedzącego w salonie. Miała na sobie strój do konnej jazdy, gdyż co tylko wróciła z pola.

— Jak ci się zdaje, — zagadnął, — co zrobiła Madzia?

— Nie wiem. Zapewne coś, co mię upokorzy i zgnębi.

— Jak masz tak to odczuwać, to nic nie powiem.

— Owszem, powiedz. Powiedz. Chcę wiedzieć.

Powtórzył jej opowieść Madzi. — Czy ty ją widzisz, stawiającą czoło całemu hrabstwu? Grzmocącą ich swemi drobnemi piąstkami?

Obraz tej cichej istoty, objętej nagłym płomieniem świętej wściekłości, wywołał w nim tkliwy, podziwiający śmiech. Natomiast Anna wybuchnęła płaczem.

— O, Jerry, to najgorsze ze wszystkiego, cośmy dotąd przeżyli. Teraz odstrychnie się od niej całe sąsiedztwo, i to z mojej przyczyny.

— Daj pokój, wszak jej to obojętne. Powiada, że jej na nikim nie zależy poza tobą i mną.

— Właśnie to okropne, ta jej sympatja. To jest kara. Kara!

Znów ją przycisnął do piersi i uspokajał.

— Co mam począć, Jerry, co mam począć?

— Pójdź do niej, — rzekł, — i powiedz jej co miłego.

— Pójść do niej i przyjąć z jej rąk karę?

— Hm, no tak, moja miła. Obawiam się, że będziesz do tego zmuszona. Gdybyś nie była taka poczciwa i mniej się tem przejmowała, wówczas nie stanowiłoby to żadnej kary. Zresztą strasznie żałuję, żem ci powiedział.

Wysoko podniosła głowę.

— To ja się naparłam. Rada jestem, że mi powiedziałeś.

Pobiegła do Madzinego pokoju na piętrze. Madzia, w stroju obiadowym, leżała na sofie, krucha i wdzięczna w swej sukni z grubej białej koronki. Na widok Anny wydała lekki okrzyk:

— Aniu, płakałaś. O co chodzi, kochanie?

— To nic. Tylko Jerrold opowiedział, jak postąpiłaś.

— Jak postąpiłam?

— Tak, dla mnie. Czemuś to zrobiła, Madziu?

— Czemu? Widocznie dlatego, że cię kocham. Nie mogłam zachować się inaczej.

Wyciągnęła do niej ręce. Anna przyklękła, kuląc się na podłodze przy niej, z twarzą ukrytą w jej sukni. Madzia otoczyła ją ramieniem.

— Ale dlaczegóż ty płaczesz, Aniu? Nigdy cię jeszcze płaczącej nie widziałam. Nie mogę na to patrzeć. To tak, jakbym ujrzała płaczącego Jerrolda.

— To dlatego, żeś ty taka dobra, a ja taka szkaradna. Pojęcia nie masz, jakam szkaradna.

— Mam, mam pojęcie.

— Naprawdę? — spytała bystro. Przez chwilę zdało jej się, że Madzia wie istotnie, wie i tak doskonale pojmuje, że aż — przebacza. Tak, to przebaczenie.

— Naturalnie. I Jerrold także. Wie znakomicie, jakaś ty „szkaradna".

Nie, to nie przebaczenie. To znowu Madzina naiwność, ufność... To kara. Klęcząca Anna chłonęła ją boleśnie.

6.

Leżała bezsennie, samotna w swym namiocie. Wymówiła się od Jerroldowych odwiedzin okropnym bólem głowy. Musiała tedy skłamać. Czemże jednak jest całe jej istnienie, jak nie kłamstwem? Kłamstwem milczenia pod Madziną ufnością, kłamstwem zgody na Madziną przyjaźń, na ślepą jej i niedorzeczną wiarę. Każda chwila, w której pozwalała Madzi kochać się, ufać sobie, wierzyć w siebie — była kłamstwem.

A najstraszliwsze jest to, że nie może być jedyną kłamiącą. Dokąd Madzia wierzy Jerroldowi, Jerrold musi kłamać również — Jerrold, będący samąż prawdą. Niekiedy myślała: Oto do czegom go przywiodła, oto jak go ściągnęłam w niziny. Lecz już po chwili ten zarzut wydawał jej się obłąkaniem jej sumienia. Nie ściągnęła Jerrolda w niziny, owszem wzniosła go na najwyższy szczyt miłości, wyrwała go z ułudy jego pożycia z Madzią do rzeczywistości i trzymała go w niej z wiernością nieposzlakowaną. Ani przez jedno okamgnienie nie sądziła, by w samemże ich uczuciu tkwiło co zdrożnego czy hańbiącego. Tylko prostoduszność Madzi robi z nich kłamców, tylko jej zacność wtrąca ich w grzech i okrywa hańbą, tylko jej zaufanie czyni ich fałszywymi.

Żadna, mniej cudownie dobra kobieta nie potrafiłaby wzbudzić w Annie tak żrącej skruchy. By ją tak złamać i stratować, na to trzeba było całej Madzinej niezrównanej doskonałości. Pierwotny instynkt, który jej bronił poznania Madzi, był głęboko słuszny. Jakgdyby już zgóry przeczuła, że poznać Madzię — to pokochać ją, ta zaś miłość pognębi Annę i złamie. Najokropniejsze, to że istotnie pokochała Madzię, i dziś już nie umiałaby orzec, co bardziej ją nęka: jej miłość do Madzi, czy też Madzina miłość do niej. I któż byłby przewidział tę katuszę? Modląc się, by cała kara spadła na nią jedną, nie wzięła w rachubę tortury tak dokładnej i wyrafinowanej. Bóg dobrze wie, co robi. Przy wszystkich swych możliwościach, nie zdołałby obmyślić nic subtelniej przeszywającego serce. Nic mniej subtelnego nie byłoby jej dosięgło. Ani wykrycie ich stosunku, ani ordynarność zdemaskowania, tylko właśnie to nieznośne bezpieczeństwo. Cóżby jej zaszkodziło wykrycie, zdemaskowanie? Owszem, przywróciłoby to jej utraconą prawdę. Annaby się radowała, widząc, jak kłamstwo płonie w oczyszczającym ogniu rzeczywistości. Ale być bezpieczną w tem zakłamaniu, ukrywać swą prawdę, być bezbronną pod ościeniem Madzinej miłości — tego ścierpieć nie mogła. W swą namiętność do Jerrolda włożyła wszystko piękno, wszystką prawdziwość swej duszy, a dzięki Madzi przeistoczyło się to w grzech. Przemyślny bóg karze ją przez to, czem zgrzeszyła, rani ją poprzez jej piękno i prawdziwość.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

„CHUSTA ŚWIĘTEJ WERONIKI". — Ewa Szelburg oddała swoje powołanie pisarskie uczuciom poznania, wyrosła na poetkę niepokoju. Usuńmy naumyślnie o jeden łokieć nabok jej wiersze liryczne, jej powieść chłopską „Polne Grusze", jej utwory dla dziatwy, a przypatrzmy się ostatnim powieściom: świeżo wydanej „Chuście św. Weroniki" i niedawnej „Dziewczynie z zimorodkiem". Wykwitnęły z potężnego instynktu dowiadywania się, z pędu, który każe dzieciom rozdzierać zabawki, aby dotrzeć do wnętrza, do sedna, do jądra rzeczy — pędu, który potem, zewnętrznym nurtem, wiezie do szczytów bohaterstwa nauki, albo wewnętrznym zawozi nas w samotnie kontemplacyjnego myślicielstwa. Zapewne, niejeden z nas wyzbył się niewygodnych uczuć poznania, nie odczuwa trwogi i niepokoju, nie chłoszcze go żądza pytania — co było przed nami, zanim zakiełkowała nasza świadomość, co będzie po nas, co stanie się z naszą jaźnią, ale przecież są tacy, którzy z dziwną rozkoszą będą powtarzać swoje pytania i przeżywać własne bóle — czytając dzieła Ewy Szelburg. Rozpłynęło się po wszystkich stronicach jej powieści i spółcierpienie z cierpieniami bytu i męczące pytanie „dlaczego?". Z tego powodu w jej książkach zjawia się stale tak pieczołowicie, tak często opiewana Smierć, śmierć jako forma, jako rama oddzielająca jeden byt od drugiego. Weronika, bohaterka najnowszej powieści, raz żachnęła się na myśl, że „posiłek" jest trupem: zwierząt lub roślin. „Niema w nas ani jednej komórki, którąby była naszą własnością. Kradniemy wszystko: ciało i krew i kości, czucia i myśli, ze wszystkiemi zmazami w nich utajonemi, z zalęgniętą w nich śmiercią. Bo czemże jest człowiek, jeśli nie przeżutą i. przetrawioną przez brzuch ziemi zgnilizną... Czemże są jego czyny, jak nie trującemi wyziewami tej zgnilizny?" Wtedy Weronika zrozumiała pojęcie „grzech pierworodny".

Już nie ze stanowiska teologji, ale ze stanowiska instynktu samozachowawczego myśli nasuwa się człowiekowi raczej przypuszczenie, że c i e l e s n e stawanie się z z a t r a c e n i a się rodzi, ale stawanie się d u c h a z ż y c i a ducha wypływa, trudno więc nam zgodzić się z takim „grzechem pierworodnym".

Dręczona niezaspokojonym nigdy podszeptem „eritis sicut Deus scientes bonum et malum", rozszerza nowa Ewa swoje odczuwanie aż pod kręgi gwiazd: „rytm toczącej się w przestworzach ziemi jest rytmem drgających w uścisku ciał". Dochodzi w kosmicznem odczuwaniu do czegoś tak przedziwnie niezrozumiałego, niewytłumaczalnego jak: „wszyscy ludzie... kobiety z mężczyznami kochają się... tak samo". Nika w uścisku męża „jest w stu jednocześnie ramionach", z twarzy męża „patrzą na nią oczy wszystkich przygodnie spotkanych mężczyzn".

Źle postąpiłby, ktoby dopatrywał się w udrękach Weroniki heteryzmu. Jeszcze Iwa nie może zdzierżyć pod obuchem myśli, że z niej „znów wykiełkuje i róść będzie słodycz trująca, ból jadowity. Wstanie nowa męka zamknięta klamrą urodzin i śmierci", ale Nika staje się matką i kroczy w aureoli świetlanej macierzyństwa. Jej niepokoje, to nie heteryzm, to uniwersalizm uczuć.

Jak w „Dziewczynie z zimorodkiem" ciało ludzkie żyje, aby pójść do ziemi i „o każdej chwili we dnie i w nocy... znajdować się we wszystkich wstrząsanych miłością ciałkach motyli, we wszystkich ciężkich od miłości kwiatach, w samem drgającem łonie ziemi i w obficie tryskającym deszczu po wieki wieków wiecznie", tak w „Chuście św Weroniki" uczucie rozpyla się we wszechświat.

Obie bohaterki, Iwę („dziewczynę z zimorodkiem") i Nikę, dręczy dusza a raduje ciało. Cała więc twórczość Ewy Szelburg przetkana jest namacalną cielesnością, a jej kobiety, bardzo cielesne, są najpełniejszem objawieniem kobiecości. Dla Niki mężczyzna jest „pielgrzymem, obmywającym się z cielesnego mułu w bystrym nurcie rozkoszy. A czemże jestem ja? Wodą uległą i posłuszną, która przyjmuje w siebie cudzą zmazę i przeto nigdy nie jest czysta". Kobiety Ewy Szelburg owijają się jak woda, jak powietrze lub jak ogień dokoła bryły ziemi męskiej. A miłość ich jest zawsze niesamowicie nieszczęśliwa. Taką postacią męczeńską była już Monika z „Polnych grusz", domyślamy się, że taką będzie i Krystyna. Iwa i Nika są córkami kobiet, które przeżyły jakąś straszną tragedję przemilczaną, kochają „od pierwszego wejrzenia" i uciekają przed potężną a odwzajemnioną miłością, czyto w ramiona samobójstwa, czyto „w świat za oczy".

Lecz w „Chuście św. Weroniki" jest zadatek na zwycięstwo. W „Dziewczynie z zimorodkiem" jeszcze dudni pustka, przykryta panteistycznem pocieszeniem, że atomy nasze rozproszą się w żywocie wszechistnienia, ale w ostatniem dziele autorka kończy wizją innego bytu. „Uznojone w ziemskiej wędrówce lica" ociera Ogrodnik raju połą swego płaszcza.

„I jak wówczas na chuście świętej Weroniki, tak tu na pole bożego płaszcza zostało odbicie umęczonej głowy.

Ale gdy tam, na chuście, t w a r z B o g a z o s t a w i ł a p o s o b i e w i z e r u n e k m ę k i l u d z k i e j: ł z y, p o t i k r e w — t u t w a r z C z ł o w i e k a o d b i ł a s i ę j a k o b l a s k c z y s t y i p e ł e n n i e z i e m s k i e j b o ż e j ś w i a t ł o ś c i."

To jest światło wielkie, które ukazuje autorka tułaczowi ziemskiemu. W zwycięstwo Golgoty wierzy tak samo, jak rzetelnym szczerym jest jej stosunek do sztuki.

Zapewne kompozycja u Ewy Szelburg jest wszędzie, ogólnie biorąc, ta sama. „Swiat poetki" jest często, zbyt często rysowany bezbarwnym konturem, ba, niejasności jej nasuwają porównanie z tajemniczościami romantyzmu. Autorka jakby uciekała od realnego życia, rzadko bowiem ktoś dbały o prozaiczne pytania mógłby odrzec, gdzie i kiedy rzecz się dzieje, czem zajmują się postaci, jaka była ich przeszłość. Oczywiście nie wynika to z nieumiejętności wypowiadania się. Czy to będzie ziemia z jej całą żywizną, czy trudy gospodarki kobiecej — każdy ruch, każdy obraz znalazł rzeźbiarkę spostrzegawczą, wnikliwą, operującą wyrazem najwypuklejszym.

Konstrukcja dzieł Ewy Szelburg jest wszędzie zwarta, każdy rozdział spojony jest niewidocznemi stalowemi prętami z poprzednim i następnym, bez rozgadania, bez rozbiegania się perełek słów. Może jedynie luźniejsze są ustępy wojenne, tak w „Dziewczynie z zimorodkiem" jak i „Chuście św. Weroniki", ale okupione wielką wyrazistością, dotykalnością osobistego przeżycia.

Jeszcze wyraźniej przebija artyzm autorki w jej stylu. Tyle już czytaliśmy pań, które piszą to co wyczytały, niewiast, które piszą to co słyszały (te wszystkie śliczne finezje dialogów w powieściach piór kobiecych), co widziały (wiele ładnych obrazów, iście malarskich, niemal sienkiewiczowskich, spotykamy w dziełach kobiecych). Ewa Szelburg, lubo w „Chuście św. Weroniki" przesuwa swoje upodobania ku wzrokowym efektom, opiewa rzeczywistość tak, jak ją odczuwamy od wewnątrz, jak się odczuwa dotyki, jak przeżywa się ruchy, napięcia mięśni czy ścięgien, bicie serca i łopot pulsów. Dlatego np. Nikę my nietylko oglądamy, ale wchodzimy w nią, zwłaszcza że otoczenie, przyroda, nie tłem, ale rozszerzeniem jest jaźni człowieczej. S. PRZYBYLSKI

„NA KOŃCU JĘZYKA". — Mieliśmy sposobność czytywać od czasu do czasu feljetony Wasylewskiego na temat języka polskiego, feljetony pisane barwnie, lekko, z dużą dozą humoru, a świadczące, że i na tem dotychczas mu obcem polu Wasylewski potrafi poruszać się z zupełną swobodą i pewnością.

Feljetony te — z dodatkiem kilku nowych rzeczy — ukazały się obecnie w wydaniu książkowem, w tak pięknej i starannej szacie zewnętrznej, że przynosi to prawdziwy zaszczyt wydawcy.

„Na końcu języka" — to coś w rodzaju geografji potocznego języka polskiego, ale geografji podanej w najmilszej rozkosznej formie swobodnej pogawędki. Więc oprowadza Cię autor po krakowskich plantach, po naszym poczciwym Łyczakowie, po wałach poznańskich czy Alejach Ujazdowskich, i wsłuchujesz się w ten nasz język, niby pozornie wszędzie ten sam, a mieniący się tysiącem różnych odcieni, wiecznie żywy, ruchliwy i zmienny, jak samo życie.

Przedziwny dar obserwacji łączy się tu z wyjątkową wysoką kulturą, która sprawia, że autor potrafi zawsze pozostać ściśle objektywnym, zarówno wytykając brzydkie i niepożądane naleciałości językowe, jak broniąc odrębności językowych poszczególnych dzielnic Polski.

Dużo serdecznych słów poświęca Wasylewski językowi lwowskiemu („Hallo! Łyczaków!"): „Lwowianie mówią po polsku pełną piersią, z całego serca, wszystkim tchem. Równie serdecznie, jak nieporządnie... Rozciągliwy akcent i nieporządny, ale jest dokumentem dziejowym i pomnikiem. Z nim razem przyszła niejedna rzecz dobra dla Polski. Z tem przeciągliwem słowem na ustach jechał galicjak Żółkiewski pod Cecorę i Jan III ciągnął pod Wiedeń. Z tego akcentu i podłoża językowego urodziła się twórczość Zimorowiczów, Szymonowiczów i „Zemsta" Fredry".

Więc nie jest to ośmieszane przez Warszawę narzecze lwowskie znowu takie najpodlejsze; ma ono swoje papiery heraldyczne w porządku. Oczyścićby je tylko należało z tych wszystkich chwastów bujnie rozplenionych w cieniu dawnych wałów gubernatorskich i „galicyjskiej biurokracji".

Ciekawą i wartościową książkę Wasylewskiego uzupełniają uwagi na temat bezimienności popularnych piosenek („Tam na błoniu błyszczy kwiecie"), oraz oryginalny szkic „Z powodu pary spodni", świadczący, że krąg zainteresowań tego najmilszego gawędziarza i świetnego essayisty uległ znacznemu rozszerzeniu. Miejmy nadzieję, że nie skończy się na tym jednym doskonałym szkicu, że zachęci on Wasylewskiego do głębszego zainteresowania się historją dawnych strojów polskich. Ileżby tu było ciekawych rzeczy do powiedzenia! A któż potrafiłby powiedzieć to wszystko żywiej, barwniej, ciekawiej, niż autor „Króla Stasia"?

Teraz czekać nam wypada na zapowiedzianą monografję Wasylewskiego o Lwowie, owem „bardzo przyjemnem mieście", które tak ukochał i do którego zawsze się odnosi z taką miłością.

A może wówczas i miasto nasze przypomnieć sobie zechce o tym, który sławę i piękność jego od lat podnosi, — może wreszcie i Wasylewskiemu przyznaną zostanie kiedyś nagroda literacka miasta Lwowa, którą zupełnie bez racji i jakiegokolwiek powodu obdarzono człowieka, ze Lwowem niczem absolutnie nie związanego, ani też niczem zgoła nie uprawnionego do otrzymania podobnego odznaczenia.

Byłby to dług wdzięczności, który powinno się spłacić jak najprędzej — choćby dla zrehabilitowania się!... K. RYCHŁOWSKI

KOLONJE LETNIE JAKO WYRAZ OPIEKI NAD DZIECKIEM. W kilku miejscowościach w województwie warszawskiem położonych odbyły się kolejno po sobie uroczystości zamknięcia kolonij letnich. Dzięki temu można było objąć niejako pewien całokształt tego wielkiego przedsięwzięcia, dzięki któremu kilka tysięcy dzieci najbardziej upośledzonych przez życie zdobywa zapas sił, zdrowia i równowagi duchowej. Tym ruchem tak bardzo pożytecznym i mądrym opiekuje się szereg instytucyj państwowych, samorządowych i społecznych. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, Kasy Chorych, Rada Szkolna i rozmaite instytucje miejskie. Główną zaś organizatorką jest znana działaczka społeczna, posłanka Praussowa, która dzięki osobistej wytrwałości zdołała wykołatać środki potrzebne i skupić je w jedno łożysko wspólnej działalności.

Osobiście oglądałem tylko kolonję położoną pod Małkinią w pobliżu Bugu, która rozłożyła się w budynkach poinwalidzkich i jest prawdziwą republiką dziewczynek. Znajduje się tutaj około tysiąca małych kobietek, od kilkoletnich berbeciów zacząwszy a na czternastoletnich panienkach skończywszy. Komenderuje niemi pułkownik Zagórska wraz z całym sztabem nauczycielek, wychowawczyń i praktykantek. Dzieci używają swobody zupełnej, ale dyskretna i umiejętna opieka nie opuszcza ich ani na chwilę. Dzięki temu właśnie można przeprowadzać systematyczną akcję zdrowotną i pedagogiczną, dzięki temu można było doprowadzić do tak doskonałego rezultatu, jakim jest powiększenie przeciętnej wagi dziecka o całe dwa kilo.



FRANKA GORDON-JURGIELEWICZ
w kostjumie łowickim

Podczas uroczystego zamknięcia pokazano nam wszystkie dzieci wśród popisów gimnastycznych, gier, zabaw i pełnego wdzięku przedstawienia teatralnego. Można było tedy oglądać dosyta ich zadowolenie, swobodę, przejawy naturalnych zdolności i zamiłowań. Otaczały nas zewsząd twarzyczki uśmiechnięte i opalone, ciała przyjemnie zaokrąglone i jędrne, oczy błyszczące wewnętrznem zadowoleniem. Objawiała się niemal na każdym kroku żywiołowa ochota do zabawy, ruchu i wesołości. Można sobie było łatwo wyobrazić jak wielka przemiana musiała tutaj nastąpić, jak odpadały zwolna wszystkie stygmaty nędzy i upośledzenia.

Zapewne, wiele z nich wróci znowu do najżałośniejszych egzystencyj miejskiego proletarjatu, ale wróci uzbrojonych w kapitał pozwalający im na przetrwanie do... następnych kolonij.

W Małkini byli obecni również przedstawiciele kolonij letnich z Zajezierza pod Dęblinem (2000 chłopców), oraz półkolonij zorganizowanych na terenie Warszawy w pięknym parku henrykowskim. Nie brakowało również i działaczy tego rodzaju z innych okolic kraju. Dzięki temu można było dokładnie się zorjentować, jak w wielkim zakresie prowadzi się dzisiaj dzieło opieki nad dzieckiem w całej Polsce. ST. DZ.

POLSKA MUZYKA LUDOWA PRZED FORUM MIĘDZYNARODOWEM. — W jednym z ostatnich numerów „Świata Kobiecego" zdawaliśmy sprawę z wybitnej działalności artystycznej naszej słynnej rodaczki, pani Franki Gordon-Jurgielewicz, na terenie Ameryki i Francji. Obecnie z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam zanotować nowy gest wielkiej artystki.

Było nim zorganizowanie polskiego koncertu w paryskim Instytucie Fonetycznym przy Sorbonie. Corocznie odbywa się tam koncert przed forum profesorów śpiewu z całego świata, którzy w tym Instytucie kończą kurs fonetyki francuskiej. Tego roku, za staraniem naszej rodaczki, koncert poświęcony został polskiej muzyce ludowej. Na program złożyły się popularne pieśni ludowe w układzie Szymanowskiego, Opieńskiego, Szopskiego i Morawskiego. Interpretacja przypadła w pierwszym rzędzie samej inicjatorce, pani Gordon-Jurgielewicz, oraz chórowi jej uczenic.

Występ jej stwierdził jeszcze raz, nie mówiąc o wspaniałym przyrodzonym sopranie i bajecznej muzykalności — niezaprzeczoną wartość jej własnej metody śpiewu, która zastosowana na polu pedagogicznem, czyni z niej największego profesora śpiewu doby obecnej.

Na osobną wzmiankę zasługuje wykonanie na tym koncercie obrazka scenicznego Maklakiewicza p. t. „Gaik", przez chór żeński w kostjumach ludowych. Ponieważ w tym chórze śpiewały cudzoziemki, które po raz pierwszy wogóle wymawiały słowa polskie, i dodać należy, bez zarzutu, nie można się dziwić, że obecni na koncercie muzycy wszelkich narodowości nie szczędzili wyrazów uznania i wykonawcom i dzielnemu kapelmistrzowi p. Karolowi Lewickiemu, który przygotowywał chór a podczas koncertu doskonale wywiązał się z obowiązków akompanjatora. „Gaik" urozmaicony był kujawiakiem układu p. Rutkowskiej, odtańczonym przez dwie urocze tancerki pp. Marlińską i Michałowską. Reżyserował znany artysta p. Tadeusz Żeromski.

Znana firma Pathé Frères zaproponowała wykonanie „Gaika" dla filmu dźwiękowego.

Koncert powyższy można uważać śmiało za akt pierwszorzędnej propagandy na terenie paryskim, który jej inicjatorce i wykonawcom przynosi prawdziwy zaszczyt i zyskać winien powszechne uznanie ze strony społeczeństwa polskiego. F. MIRSKI

ZJAZD PAŃ DOMU. — Coraz żywsze zainteresowanie kobiet okazywane sprawom gospodarczym, lecz mimo wszystko nie tak popularnym, jak chwila obecna tego wymaga, skłoniło Koło Studjów Gospodarstwa Domowego do zainicjowania Pierwszego Wielkiego Zjazdu Pań Domu.

Celem Zjazdu jest zbliżenie się między sobą osób interesujących się obecnym ruchem ulepszania gospodarstw domowych, a także utworzenie jednej wspólnej organizacji kobiet prowadzących gospodarstwa domowe.

Zjazd odbędzie się w Warszawie w dniach 21, 22, 23 październnika r. b. i obejmować będzie obrady, pracę w komisji, kursy, zwiedzanie instytucyj, pokazy i wspólną kolację. Otwarcie Zjazdu nastąpi o godz. 10 rano w Sali Techników — Czackiego 3/5.

Udział w Zjeździe mogą wziąć delegatki Stowarzyszeń oraz osoby prywatne, interesujące się sprawą gospodarstwa domowego. Delegatki winny posiadać pełnomocnictwa do decydowania poruszanych na Zjeździe spraw.

Opłata za uczestnictwo w Zjeździe wynosi 15 zł, które nadsyłać należy do Sekretarjatu Zjazdu, Warszawa, ul. Mokotowska 51/53.

Karta uczestnictwa daje prawo wstępu na obrady Zjazdu, kursy i wycieczki, które dadzą możność paniom zapoznania się z Instytutem Gospodarstwa Domowego, Instytutem Higjeny, Internatem dla Położnic, Ośrodkiem Zdrowia, Seminarjum Gospod. oraz Szkołą Zawodową dla kobiet. — Nie należy wątpić, że inicjatywa zorganizowania Zjazdu Pań Domu znajdzie gorący oddźwięk wśród społeczeństwa kobiecego. A pierwszy Zjazd Kobiet polskich będzie tak liczny i owocny w prace, że przerośnie dotychczasowe zjazdy organizacyj gospodarskich kobiet na Zachodzie. M. A.



PÓŁKOLONJE DZIECI



KOLONJA W MAŁKINI

MOJA „ŚWIĘTA KUCHARKA"

NAZYWAŁA SIĘ ta wyjątkowa istota:

Stefanja Kazimiera Hałupianka, lat 46, stanu wolnego.

Narzeczonego nie miała, z oględzin kuchni i swego pokoiku była zadowolona, ulica dogadzała jej również, t. zw. wychód był jej obojętny. Na wszystko się godziła, wszystko umiała robić; przedłożyła pochlebne świadectwa, a nawet — o dziwo — dowód osobisty.

Mówiła łagodnie, z namysłem, cicho. Ubrana skromnie, czarno; duże zaś okulary na ascetycznem obliczu upodobniały ją nieco do przedstawicielek Armji Zbawienia. Imponujący wzrost budził mimowoli respekt.

Nie, takiej jeszcze nie miałam. Ta z pewnością będzie inna od poprzedniczek; to chyba niewątpliwe.

Gdy w dodatku wyraziła jedną tylko prośbę o dobre obchodzenie się z nią, albowiem pochodzi „z lepszej rodziny" a podupadła przez nieuczciwego opiekuna — byłam szczerze wzruszona i pełna najlepszych nadziei.

Stefanja Kazimiera, po schowaniu zadatku, poprawiła zakłopotanym ruchem kapelusz, przetarła okulary, krząknęła dyskretnie i dobrotliwie indagowała:

— Przepraszam — ile osób w domu?

— Dwie.

— Tak na początek, czy na zawsze? Bo to Państwo lubią dla zachęty mniej powiedzieć, a potem różnie bywa...

Po uspokajającej odpowiedzi, pytała w dalszym ciągu:

— Czy kot jest?

— Nie.

— A pies?

— Nie.

— To może ptaszki jakieś?

— Nie.

— A goście jak często przychodzą na herbatki? Bo to urwanie głowy z temi kanapkami i słodyczami.

— Bardzo rzadko.

— No — to znaczy się, że mniej więcej jest po mojej myśli.

Gdy odeszła, schowałam z szacunkiem jej papiery i niecierpliwie oczekiwałam radosnego dnia, w którym nowa służąca obejmie „posadę". Nie służbę, Boże broń, bo służyć mogą wojskowi, urzędnicy prywatni i państwowi, profesorowie, najwyżsi dostojnicy też służyć mogą krajowi, ale służąca służyć nikomu nie może. To jest obraźliwy termin, poniżający jej godność. Służba domowa szuka posady, obejmuje posadę, jest na posadzie. I wogóle nie wolno używać słowa „służba".

Stefanja Kazimiera oznaczyła dzień przyjścia na sobotę, jako dzień Matki Boskiej, zatem szczęśliwy — i nie rano, ale po południu. Zjawiła się też istotnie o godzinie szóstej z rzeczami. Była trochę podniecona i szczerze mi na wstępie oświadczyła:

— Nie wiem, czym dobrze zrobiła, żem się tak zagalopowała z tem przywiezieniem rzeczy. Bo czy to można wiedzieć co biedną sierotę spotka na nowej posadzie?

Usiłowałam ją pocieszyć, dodać otuchy i zaraz zaproponowałam podwieczorek. Była kawa i chleb z masłem. Przyznała, że jest głodna, ale za kawę dziękuje, bo jej na serce szkodzi, a chleb odciska w dołku.

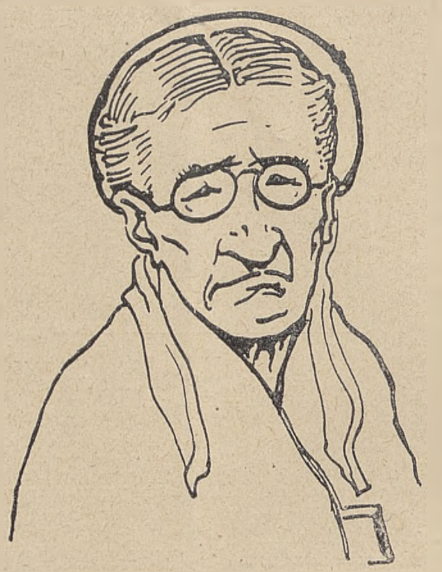
— Więc może herbata?

— Chyba nie. Jeden doktor mówił, że to psuje nerwy. A ja i bez tego często bywam znerwowana i zgryźliwa.

— W takim razie pozostaje mleko.

— Z mlekiem to jest tak, że kwasy w żołądku robią się z tego. A ja, przez to sieroctwo, nabawiłam się takiego letkiego żołądka, jak nie przymierzając francuski piesek. Ale co mnie dziwno, że w doktorskim domu nie wiedzą o tem, co zdrowiu szkodzi.

— Może mi więc powiesz, co pijesz na śniadanie i podwieczorek?



— Kakao, proszę Pani. Mnie dużo nie trzeba, byle zdrowe i posilne było. Pół litra mleka, dwa żółteczka — one właśnie sił dodają — trochę cukru, trochę kakao i cała parada gotowa. Tylko trzeba posłać po bułeczki; trzy, to moja porcyjka. Bo wedle chleba, to już chyba wytłumaczyłam.

— A niby kto to ma chodzić po bułki? Czy może ja mam być posługaczem kucharki? — wojowniczo zapytał służący, obecny przy tej rozmowie.

Stefanja Kazimiera krząknęła ostrzegawczo i cichutko wyjaśniła:

— Z ordynaryjnymi ludźmi nie gadam. Kucharką nie jestem, tylko zarządzającą domem. A należy mi się mówienie: panna, bo nią jestem. Mój brat jest inżynierem i gdyby nie zła bratowa, mógłby pan Michał być w obowiązku u mnie. A teraz proszę opuścić moją kuchnię, bo żeby do czego nie doszło.

Wycofałam się przezornie do swego pokoju, pozostawiając Michała jego losowi. Około siódmej puka do mnie Stefanja Kazimiera, ubrana do wyjścia, i oświadcza:

— Idę po niedzielny kapelusz, bo to nie miałabym co włożyć jutro na dziewiątową. Najlepsza dla mnie msza o dziewiątej. A kapelusz zapomniałam zapakować. Proszę też na szyneczkę na kolację, bo gdy wrócę nie zabiorę się przecież zaraz pierwszego dnia do roboty. Czy masełko jest w domu? Bo chleb z szyneczką się zgadza, więc bułek nie trzeba. Tylko jaką herbatę Państwo piją? Mnie dużo nie trzeba, ale gatunek musi we wszystkiem być.

Odeszła powoli, bezszelestnie, z godnością w ruchach.

Wyznaję, że mój pierwotny entuzjazm mocno ochłódł. Ale mimo wszystko nie traciłam jeszcze nadziei, że przy pomocy różnych ustępstw stosunki dobrze się ułożą. Mąż wraca dopiero za dwa tygodnie, mam więc dosyć czasu na przyuczenie służącej.

Tuż przed dziesiątą przyszła Stefanja Kazimiera, zjadła kolację, obejrzała skrupulatnie łóżko, pościel i zdecydowała, że najwyższy czas odpocząć.

Chciałam jej wydać dyspozycje na jutro, pokazać gdzie kawa, cukier i wszystko co potrzebne do przyrządzenia śniadania — ale ona odłożyła to uprzejmie do jutra. Na pierwszy dzień byłoby za dużo wrażeń.

Mniej więcej za pół godziny rozlega się pukanie do moich drzwi. To Stefanja Kazimiera prosi „na słówko":

— Proszę Pani — tam u mnie w pokoiku coś nie w porządku, — mówi zbolałym głosem.

Przerażam się: czyżby jakieś insekty? Pytam więc o co idzie. A Stefanja żali się:

— Nie spodziewałam się takich braków w doktorskim domu. Bo ja to sobie tak lubię, po tym naszym pacierzu świętym i gdy się sercu Jezusowemu polecę, dopiero położyć się do łóżka i zażyć proszek, na wszelki wypadek, a termometr założyć pod pachę, bo żebym

wiedziała, czym może nie chora. A tu szukam w szufladce, ale ani proszków, ani termometra nie widzę. I nie mówię, żeby to się zdarzyło w jakimś innym domu, ale w doktorskim — Bo ja, prawdę mówiąc, brałam tę posadę u Państwa właściwie wedle tego, że Pan jest doktorem. Żebym miała pomoc i poradę pod ręką. Więc zaraz na początku znaczy się, że nie jest wszystko wedle mojej myśli.

Rozstałyśmy się chłodno, bo i nie po mojej myśli było wszystko.

Następny dzień przyniósł nam obu nowe niespodzianki. Śniadanie musiałam sama robić; Stefanja Kazimiera zaspała. Okazało się, że budzić jej nie wolno, bo z przestrachu dostaje migreny, budzik zaś jest przeraźliwy i przyprawia ją o bicie serca. Obiadu w niedzielę nie gotuje, bo to grzech. Trzeba o tem było w sobotę pamiętać; w każdym chrześcijańskim domu gotują w sobotę a w niedzielę tylko przygrzewają. Dziś trzeba wziąć z restauracji, choć to z tego ból żołądka gotowy, a człowiek się niepotrzebnie przed mszą świętą nerwuje, i to właśnie wtedy człowieka spotyka, gdy na intencję dobrej posady ofiaruje się przystępować codziennie przez tydzień do Komunji!

Po powrocie z kościoła wypiła śniadanie w nastroju wrogim, nieprzejednanym, widocznie zawiedziona w swych nadziejach co do dobrej posady. Postanowiłam jednak, mimo wszystko, zaznajomić ją z niektóremi obowiązkami; zamiary moje przyjęła chłodno i z miejsca ujęła inicjatywę w swoje ręce.

— Ja to lubię odrazu wszystko powiedzieć, — oznajmiła cichym głosem, — bo żeby potem nie było żadnego zamieszania i jak się co raz powie, to już bez zmiany ma być. Jestem porządkowa osoba. Po pierwsze, proszę nie mówić do mnie „Stefanjo”, bo to lada pierwsza lepsza ze suteren już jest Stefa, a ja mam na chrzcie świętym Kazimiera na drugie, więc mi się takie nazywanie należy. Po drugie, nie znam mieszkania. Pana także nie znam, a ja zanim nie skontroluję co i jak, to się do niczego nie zabieram, bo poco zaczynać na darmo, jeżeli tamto nie po mojemu wypadnie. Już wczoraj zasnąć nie mogłam.

Mieszkanie ją rozczarowało.

— Poco to tyle pokoisków dla dwóch osób; zaplątać się w tem można. Ale to nie moja rzecz. I telefon też nie do mnie należy. No a Pan gdzie?

— Przyjedzie za dwa tygodnie.

— O, to bardzo źle. Ja się tu będę przyzwyczajała, przyuczała, a nuż my się sobie z Panem nie nadamy. Są takie panowie, co lubią krzywdzić dziewczęta, ale ja nie z tych, nie zgodziłabym się na to nigdy. Panu trza to zaraz napisać; zresztą dowiem się w kamienicy. Zresztą wedle Pana dużo byłoby jeszcze do powiedzenia. Ja z mężczyznami nie lubię nic mieć do czynienia. Gotowanie, to się rozumie, ale żeby jakie posługi, a jakieś podawanie kawy do łóżka, a jakieś dzwonki z sypialni Pana — to dla mnie nie jest. A już słyszeć nie mogę o czyszczeniu ubrania.

— Jest przecież Michał.

— Niby jest, ale co z tego. Wszędzie, gdzie obejmuję posadę, to jest taki darmozjad, coby tylko jadł, dymił papierosiskami i nic nie robił. To paskudny naród, gburowaty i do picia skory. Tam, skąd odeszłam, był taki jeden, co to niby wszystko robił w powszechne dnie, a jak tylko przyszła niedziela albo święto, zaraz się upijał jak nieboskie stworzenie i na drugi dzień plątał się jak tuman do niczego. Państwo coś sobie do niego upatrzyli, że to niby on wierny a uczciwy, ale ja nie mogłam tego ścierpieć, żeby patrzeć jak biedny Panicz czyści sobie i tatusiowi buty i ubranie.

— Więc dlaczego nie zastąpiłaś Michała?

— Przy zgodzie nic się nie mówiło o jakiem zastępowaniu męskiej posady. Takiego miejsca byłabym nigdy nie wzięła. To Państwo było winne, że znosiło w domu pijaństwo. Nie trzeba było ukrywać przede mną, że pijak jest w domu.

— Ale przecież nie w każdym domu jest służący, więc musiało się chyba nieraz tak zdarzyć, żeś czyściła męską garderobę?

— Musi być albo służący, albo pokojówka; inaczej posady nie przyjmę. Pokojówkom wszystko jedno; te dzisiejsze dziewczęta obrane są ze skromności. Taka ani się zająknie przy męskiej posłudze. Mnie się tak raz zdarzyło, że pokojówka zachorowała i nie było komu czyścić ubrania. Państwo było bardzo grzeczne i nie mieszało mi się do niczego, więc i ja też chciałam być życzliwa i oczyściłam buty i marynarkę; reszty nie ruszyłam. Ale co się pokazało? Pan zrozumiał z kim ma do czynienia, uszanował moje panieństwo, i sam czyścił spodnie przez cały czas choroby pokojówki. Tylko że takich delikatnych panów trudno znaleźć.

Coraz więcej zaniepokojona, oczekiwałam dalszych dni; wierzyłam, że Kazimiera przecież musi mieć jakieś dobre strony, jak np. uczciwość, umiejętność gotowania. Ale zaraz pierwszy rachunek i pierwszy obiad odebrał mi resztę złudzeń. Rachunek się nie zgadzał, a obiad był niemożliwy. Ale to nie z jej winy, tylko ja popisałam co mi się podobało, a ona nie może przeczytać, bo zły wuj nie posyłał jej do szkoły. Taki to sierocy los. Obiad bardzo jej smakował, a że mnie nie, to także nie jej wina, bo w każdym domu inne grymasy. Trzeba, żebym jej codzień mówiła jak co robić; tak będzie najlepiej. — Po obiedzie Stefanja Kazimiera kładła się do łóżka i spała do piątej. Po podwieczorku szła się przewietrzyć i wstępowała na pacierz.

Po kilku dniach porządek domowy był taki: ona chodziła na zakupy i gotowała złe obiady — ja przyrządzałam śniadanie i zimną kolację dla siebie. Stefanja Kazimiera chowała dla siebie na podwieczorek kawę w hermetycznie zamkniętej butelce, a kolację robiła sobie ciepłą, o różnych porach, zależnie od powrotu do domu. Mną krępować się nie mogła, bo nie wiedziała przecież zgóry, o której wróci.

Zresztą wieczorem była stale zmęczona i wszystko ją denerwowało. Całe życie ciężko pracowała i poniewierała się po cudzych domach, a wiadomo jak państwo potrafi wyzyskiwać niedoświadczone dziewczęta. A już jak która z lepszego domu, to nie daj Boże, co musi znosić, bo o prawdziwe państwo coraz trudniej; ona przynajmniej dotychczas nię spotkała.

Z czemkolwiek, poza obiadem, zwróciłam się do niej, dostawałam odpowiedź: przy umowie nie mówiło się o tem.

Wkońcu gdy zadzwoniłam raz wieczorem — już po jej kolacji — by mi podała herbatę, podziękowała z miejsca, gdyż nie mogła znieść takiej poniewierki, by jej przerywano pacierz. Zresztą i bez tego miała wymówić posadę, bo tak ciężko pracować nie może. Prosi o zwolnienie od następnego dnia, bo jej zbawienie duszy i zdrowie jeszcze miłe, a w niewolę się nie zaprzedała.

Odchodząc, przeprosiła mnie z wdziękiem za zawód. Nie jest temu winna, że Pan Jezus nie daje jej sił do pracy, ale naprzeciwko woli Boskiej nie będzie powstawała, bo to śmiertelny grzech. Te złe posady, któremi ją Bóg nawiedza, to tylko próby, czy ona z poddaniem się woli Bożej będzie znosiła utrapienia. Wierzy, że kiedyś w nagrodę pocieszy ją Pan Jezus „odpowiedzialną” posadą, z której będzie mogła być zadowolona.

Czuła się pokrzywdzona, że nie wypłaciłam jej za cały miesiąc, ale natychmiast ofiarowała tę krzywdę Panu Bogu. Przeliczyła świadectwa, bo Państwo lubią coś czasem na złość przechować, a taka biedna dziewczyna sprawiedliwości na ziemi nie zazna.

Odeszła w szóstym dniu swego pobytu u mnie. ...

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

PIĘKNOŚĆ jest jednym z tych darów natury, z którym należy się obchodzić tak jak z talentem. Trzeba go pielęgnować, rozwijać, kształcić. Nie można zadowolić się samą świadomością posiadania tego skarbu i zachowywać się biernie. Byłoby to bowiem tak, jakgdyby ktoś posiadając np. piękny głos, nie robił żadnych starań o wyszkolenie go i wydoskonalenie, o wydobycie zeń najwyższej sumy piękna. Jeśli dziś nieregularność rysów nie jest przeszkodą do podobania się i czarowania urokiem — skoro kobieta umiejętnie uprawia kulturę fizyczną — cóż za możliwości stoją przed tą, którą już sama natura obdarzyła wdziękami. Niestety, często obchodzą się piękne kobiety z urodą, jak owe panny biblijne, które powierzonych im darów nie pomnożyły... Niech to przypomnienie będzie podnietą do pokonania bierności i lenistwa, tych najgorszych wrogów zdrowia i urody. Przyszliśmy bowiem już dawno do przekonania, że pielęgnowanie urody oraz starania o ciało nie są niczem innem jak wyrafinowaną higjeną, czyli środkami wiodącemi do zdrowia i radości życia.

Z biegiem lat zmieniają się pojęcia estetyczne i każda epoka ma swój odrębny typ piękności kobiecej. To też przyglądając się niektórym wizerunkom słynnych piękności minionych epok i czytając o namiętnościach, jakie budziły, o hołdach, jakie im składano, nie możemy oprzeć się często zdziwieniu. Czasem nawet, pod kątem dzisiejszych pojęć, wydają się nam śmieszne i raczej inne uczucia wzniecać mogące, aniżeli miłość i uwielbienie. Z zadumą spoglądamy na portrety różnych dam zażywnych, o podwójnych podbródkach, o kształtach rozsadzających wprost staniki, o dużych bezmyślnych oczach — i z jakiemś przykrem niedowierzaniem czytamy o szaleństwach popełnianych dla nich, o tragedjach, których były powodem. Wystarczyła świeża cera, normalne rysy, młode ciało. O resztę nie dbano.

O ileż bardziej wymagający jesteśmy dzisiaj. W jak innych i w jak wielu kierunkach stawiamy wymagania. A jak mimo to dzisiaj łatwiej zdobyć warunki stawiane piękności — i o ile więcej ponętnych kobiet ma obecna epoka. Czyż to nie dziwne wobec zwielokrotnionych żądań? I na czemże to polegać może?

Oto do atrybutów współczesnej piękności wliczono rzeczy, które nietylko od darów natury są zależne, nietylko od regularnych rysów twarzy. Wogóle nietylko od samej głowy.

Idzie nam dziś o całość harmonijną, o wdzięczną postać, szlachetne członki, ruchy swobodne i giętkie.

Regularne rysy nie mogą nas zachwycić, o ile wieje z nich tępota i bezmyślność. Najpiękniejszy kolor i kształt oczu nie zakłóci nam spokoju, o ile ich wyraz nie przemówi do nas. Robi to na nas wrażenie martwej gliny bez ducha. A dziś właśnie o tego ducha przedewszystkiem nam idzie, o to wszystko, co poza patrzeniem przeżywać możemy.

Z twarzy musi do nas przemawiać bogate życie wewnętrzne; siła jego żywotności i stopień kultury. Orjentacja jest tu nader szybka i niezawodna; czasem wystarczy zderzenie się oczu, zmiana wyrazu w jakiejś chwili, byśmy wiedzieli, jakie światło wewnątrz płonie. I czy wogóle.

Kształcenie ducha, szkolenie swej umysłowości zależy wyłącznie od nas samych, od naszej woli i wytrwałości.

Tak samo szkolenie ciała, kultura fizyczna, higjena osobista jedynie od naszych dobrych chęci i wysiłków są zawisłe.

Łatwiej wybaczamy dziś — a nawet przeoczamy — brak regularnych rysów, aniżeli brak któregokolwiek z wymienionych poza niemi warunków.

One dominują bowiem nad wszystkiem i stanowią o zwycięstwie nad „gładką buzią". Ludzie innej epoki — inny ideał piękna stworzyliśmy. Może nie tak posągowo-martwy, nieosiągalny, albo bezduszny jak ładna lalka, lub też zależny od przytłaczającej pełni biało-różowego ciała — ale zato radosny, dostępny wszystkim chcącym, żywy, zmienny.

Nowoczesna higjena i kosmetyka uczą tych rzeczy wartych poznania. Chciejmy więc doceniać je w pełni i nie obniżać ich wysokiej wartości stawianiem narówni z rzeczami, które z wiedzą nie mają nic wspólnego, a obliczone są wyłącznie na wyzysk, na zachwalanie własnych wyrobów kosmetycznych i jak największy ich zbyt.

Wzmożona walka o byt wciągnęła kobietę mimowoli w ruchliwszy prąd życia i pokonała wiele z jej dawnej bierności, bezwoli, bezruchu. Wyszło to jej na korzyść; zwiększył się krąg zainteresowań ogólno-ludzkich, zniknęło ciasne domowe podwórko. Inaczej widzi swoje obowiązki wobec domu i społeczeństwa. To spojrzenie wdal, a poniechanie małostkowości w codziennych sprawach, wzbogaciło jej życie wewnętrzne, pogłębiło wyraz twarzy i światło oczu.

Ze zwiększeniem się zakresu działania, z różnorodnością zajęć i obowiązków, z koniecznością występowania nazewnątrz, zwiększyła się ruchliwość fizyczna. Kobieta tkwiąca w pełnym prądzie życia — musi być czynna, musi dużo i często wychodzić, podróżować. To także jest korzystną zmianą w porównaniu z dawnym sposobem spędzania dni przez większość kobiet, zasklepionych w czterech ścianach domu.

Aby uniknąć zarzutu, że wszystko uważam za dobre co przynosi doba obecna, zwrócę uwagę i na niebezpieczeństwo mogące grozić w nowych warunkach życia.

Wielką jego wadą jest ustawiczny pośpiech, chroniczny brak czasu, gorączkowe wyłapywanie godzin i chwil, zbywanie i zaniedbywanie wielu rzeczy ze szkodą dla zdrowia.

Na takiem podłożu łatwo rozwija się nerwowość i nadmierna pobudliwość, które szybko niszczą urodę, nużą, wyczerpują.

To też współczesna kobieta musi podwoić starania o higjeniczne warunki życia i pilnie studjować nowe prądy na polu kultury fizycznej.

Nie wolno jej lekceważyć momentów znużenia, gdyż to za każdym razem nowy projekt na zmarszczki i inne defekty cery. Zastosowywanie odpoczynków w porę jest już samo w sobie nieocenionym kosmetykiem.

Szanowanie oczu, na których najprędzej odbijają się ślady znużenia, musi być surowo przestrzegane.

Higjena pożywienia i narządów trawiennych jest niezmiernie ważnym czynnikiem w staraniach o zdrowie i urodę.

Dobre kremy, wody, higjeniczny puder, znajomość zasad mycia, nadewszystko zaś czystość całego ciała a nie wyłącznie poszczególnych jego części — tych widocznych w każdej chwili — są to również rzeczy niezbędne w szeregu innych usiłowań.

Każda kobieta powinna rozumnie walczyć o utrzymanie urody i rozwijać w tym kierunku nie gasnącą energję, o ile nie chce być wykreśloną z grona mile widzianych czy to w towarzystwie, czy na terenie pracy zawodowej lub społecznej. Nie idzie tu, rzecz jasna, o podboje i zdobycze miłosne, ale o zapewnienie sobie pewnej sumy wdzięku, który zniewala bez względu na wiek.

EFEB

PLOTECZKI O MODZIE

Moda jako indywidualistka — to objaw, jak na modę, rzadki i cenny. Nie uniformuje nas niewolniczo, pozwala każdej wyglądać inaczej, czerpać z wielu stylów. Każdy typ urody, każda budowa, każda tusza dobrać sobie może to, co ją w najkorzystniejszem świetle przedstawi. Podziwiamy na modelach wpływy stylów Directoire, Empire; widzimy jakby żywcem z portretów skopjowane toalety królowej Ludwiki, cesarzowej Eugenji. O rosyjskich wpływach już pisałam; ale przyznam, że z niechęcią. Nie widzę w nich niczego ładnego, ani sympatycznego, ani nadającego się do dzisiejszych warunków życia.

Aksamit i sukno — wybijają się na pierwszy plan. Aksamit na kostjumy, płaszcze, suknie codzienne, kamizelki, suknie domowe, szlafroczki. Na kapelusze i zarękawki. Aksamit jedwabny i wełniany, gładki i w deseń, w szkocką kratkę, w kwiaty. Aksamit wyciśnięty we wzór breitschwantzu, a wcale nie chcący imitować futra, jest ślicznym miękkim materjałem na popołudniowe kostjumy i płaszcze.

Komplety zimowe — pozwalają kombinować materjały, co niezmiernie upraszcza i obniża koszty. Komplety składają się nieraz z trzech, czterech lub pięciu części. Przykłady: płaszcz z szorstkiej czarnej wełny, spódniczka z czarnego sukna, bluzka z błękitnej krepy. Płaszcz z jasnego, grubego tweedu w deseń, spódniczka z gładkiego ciemnego tweedu, kamizelka z sukna lub aksamitu, bluzka z jedwabiu w pastelowym odcieniu. Płaszcz z ciemno-bronzowej grubej wełny, spódniczka z sukienka, bluzka z blado-różowej krepy, kamizelka z cieniutkiego, płaskiego futerka beige. Wogóle gładkie spódniczki noszone są do żakietów i płaszczy z tweedów i wełen wzorzystych. Dużo koloru czarnego w kompletach.

Jersey w paski — jest wielką nowością na bluzki do kostjumów i do sportu. Pozatem zapowiada się moda materjałów w paski wąskie i szersze.

Kamizelki — zaczynają wypierać ulubione dżempry; nadaje się na nie każdy rodzaj materjału, wełna, aksamit, trykot, jedwab. Materjały cienkie można lekko podwatować i opatrzyć podszewką. Strojne kamizelki — są ulubionem przybraniem skromnych sukienek i rozwijają najbujniejszą fantazję. Zazwyczaj z rękawami, luźne, bardzo rzadko z paskiem lub zapięciem. Z tych samych materjałów co suknia, albo też z odmiennych; haftowane, aplikowane, z nakładanemi pliskami, z motywami z materjału sukni. Pięknie ożywiają i odświeżają każdą toaletę.

Próby powrotu zarękawków — widzimy i w tegorocznym sezonie. Zarękawki nie obowiązują wprawdzie, tak jak to ongi bywało, i są jeszcze rzadkiemi okazami, ale wspomnieć o nich trzeba z obowiązku sprawozdawczego. Wykonane z tego samego futra co żakiet lub przybranie okrycia, rozmaite kształtem. Czasem małe, przypominające baryłkę, mające raczej zastępować torebkę, to znów duże, okrągłe lub trójkątne.

Zarękawki z materjału kostjumu lub płaszcza, albo też stonowane, przedstawiła jedna z francuskich firm krawieckich: do płaszcza z czarnego aksamitu z białym lisem — zarękawek z aksamitu czarnego w białe grochy; do kostjumu z tweedu beige — zarękawek z tweedu beige w bronzowy deseń. Oto nowe pole do fantastycznych pomysłów, wśród których odznacza się praktycznością umieszczenie torebki wewnątrz zarękawka. Nie



Popołudniowy płaszcz z czarnego sukienka; kołnierz i mankiety z krymskich baranków

Przedpołudniowy płaszcz z grubej wełny w deseń; kołnierz z płaskiego futerka

Komplet z wełny bronzowej z beige; kołnierz i mankiety z astrachanu beige

Komplet z tweedu czarno-białego, przybrany perskim barankiem, albo astrachanem

Kostjum angielski z granatowego sukienka. Lis jasno-bronzowy



Płaszcz popołudniowy z popielatego aksamitu wełnianego lub jedwabnego, przybrany astrachanem

Płaszcz sportowy z grubego tweedu w kolorze mahoniowym



Komplet z wełny angielskiej w kolorze bronzowym, przybrany bibretami



Płaszcz z granatowego grubego rypsu; kołnierz i mankiety selskinowe

Płaszcz w stylu sportowym z grubej wełny w deseń, przybrany puszystem futerkiem, dobranem do koloru materjału

jako części oddzielnej, ale złączonej z zarękawkiem. Więc albo wspaniałe, puszyste mankiety przy rękawach — albo gładkie rękawy i zarękawek.

Aksamit jedwabny i wełniany — jest wyróżniony wśród materjałów na popołudniowe płaszcze, kostjumy, suknie.

Krótkie żakiety — nosimy przeważnie do kostjumów przedpołudniowych i o charakterze sportowym. Te ostatnie są obecnie więcej urozmaicone, nie tak surowe i sztywne jak dawniej. Czasem składają się na taki kostjum dwa lub trzy rodzaje materjałów, a więc np. żakiet z tweedu, spódniczka ze sukna, bluzka krojem dżemprowym z jerseyu. Co za możliwości do przeróbek i zużytkowania garderoby zdekompletowanej. Możemy mieć doskonale zachowany żakiet a spódniczkę zniszczoną, i zwykle wówczas kostjum był stracony; obecnie wolno żakiet skombinować z którąś z innych spódniczek, albo sprawić nową i niedużym wydatkiem uratować kostjum.

Dłuższe żakiety — przyjęły się przy kostjumach popołudniowych. Są lekko przylegające w talji, od bioder począwszy rozszerzają się baskinkami, kloszami lub wolantami i są bogato przybrane futrem. Kostjumy tego rodzaju robią bardzo strojne wrażenie i dlatego trzeba niezmiernie z tem się liczyć, gdzie i o jakiej porze włożyć je wolno.

O płaszczach — podane już wcześniej zasadnicze wiadomości uzupełnię następującemi szczegółami. *Wpływy dyrektorjatu* widzimy na modelach o bardzo wysokim stanie, przylegającym górą; dół szeroki. Ramiona znacznie poszerzone podwójną, wąską pelerynką, nad którą unosi się wysoki kołnierz futrzany. *Wpływy rosyjskie* zaznaczają się w przybraniach astrachanem czarnym lub popielatym, rozmieszczonym obficie na kołnierzu, wysokich mankietach i na dole płaszcza. Model górą obcisły, zapięty do pasa na guziki.

Przydłużanie płaszczy — jest bardzo ważną kwestją; częstokroć nieuniknioną koniecznością, decydującą o tem, czy płaszcz może nam jeszcze służyć. Ponieważ kupno płaszcza jest połączone ze znacznym wydatkiem, który niezawsze zmieści się w budżecie, podam Czytelniczkom sekret łatwego przydłużenia. Sekret tem cenniejszy, że nikt nie odgadnie przydłużenia. Niektóre najnowsze modele płaszczy mają paski z tego samego materjału, ale nie osobne, lecz inkrustowane, czyli stanowiące jednolitą całość z płaszczem. Albo też inkrustowane plisy w okolicy pasa lub bioder. Tak paski, jak plisy są zazwyczaj szerokości kilkunastu centymetrów. Zależnie od modelu i rodzaju materjału mogą być połączone z płaszczem w trojaki sposób: zeszyte od strony lewej i rozprasowane, stebnowane po wierzchu, albo wykończone wąziutką zakładeczką. Mogą być przyszyte jako pas w pasie, w linji prostej, albo też łukowatej, czy też innej dowolnie wybranej. A teraz problem, skąd wziąć potrzebny materjał, o ile płaszcz był kupiony gotowy, więc o dobraniu mowy być nie może. Jest i na to rada. Każdy płaszcz ma przody wykończone tym samym materjałem, i właśnie te kawałki służą nam do przydłużenia. Na wykończenie zaś dobieramy podobny gatunek materjału, a za to w dokładnie takim samym kolorze. Koszt nieduży, gdyż zazwyczaj idzie o dokupienie kilkunastu centymetrów materjału i podszewki. Przysztukowanie tej ostatniej wykonujemy dołem, a szew kryjemy naszyciem borty w takim samym kolorze. Której z pań nie odpowiada pomysł z bortą, może ukryć szew pod pliskami, zakładeczkami lub stebnem.

Gufrowana wstążka — służy jako przybranie sukien popołudniowych. Umieszcza się ją na dole spódniczki, przy rękawach, dookoła przodu stanika, kołnierzy, pelerynek.

CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

SUKNIE CODZIENNE Z TWEEDÓW





1138 Suknia z pelerynką z tweedu popielatego z czarnym. Część przednia sukni przystebnowana osobno; dołem zprzodu i ztyłu nieznaczny kloszyk. Kołnierz z perłowej jedwabnej piki. Pasek i guziki czarne.

1139 Suknia granatowa w ciemno-wiśniowy deseń. Przód wystebnowany, po bokach nieznaczne klosze. Mankiety i żabot z białej żorżety; guzik i pasek wiśniowy.

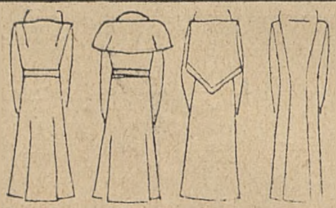
1140 Suknia z gładkiego zielonego tweedu. Nakładane kontrafałdy wystebnowane. Pasek z ciemno-zielonej skóry; przodzik z kremowej wełnianej żorżety.

1141 Suknia w kolorze beige z bronzowym. Odcinana spódniczka w kontrafałdy stebnowane. Wstawiany przód bluzki, wykończony stebnem; pasek z zamszu ciemno-bronzowego, białe przybranie u szyi i rękawów.

Wybierajmy wyłącznie krajowe tweedy

PŁASZCZE SPORTOWE I POPOŁUDNIOWE





1142 Płaszcz z grubej wełny w deseń; kołnierz astrachanowy. Guziki rozmieszczone na przodach, mankietach i kieszeniach.

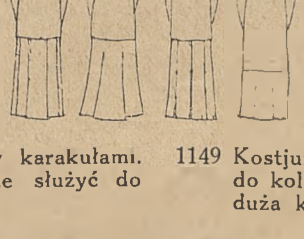
1143 Płaszcz z ciepłego tweedu z pelerynką. Modne, szerokie wyłogi i wysokie mankiety.

1144 Płaszcz popołudniowy z czarnego sukienka lub aksamitu, ozdobiony bolerkiem. Kołnierz i przybranie rękawów z jasnego fantazyjnego futra.

1145 Popołudniowy płaszcz z wełnianego aksamitu, przybrany stebnami i puszystem ciemnem futrem.

Korzystajmy z bogatej kolekcji materjałów krajowych





1146 Szykowny kostjum w kolorze czarnym; bluzka i podszewka żakietu z perłowego jedwabiu. Fałdy spódniczki stebnowane, kołnierz i mankiety z jasnego baranka w odcieniu bluzki. Żakiet zapięty na sześć guzików.

1147 Wdzięczny kostjum z jasnej wełny, przybrany karakułami. Kołnierz osobny, potraktowany jak szalik, może służyć do sukien, płaszczy i bluzek.

1148 Kostjum z jasnego tweedu, z ciemnem puszystem futrem. Spódniczka w kontrafałdy, pięknie pozacinana na biodrach i przybrana skośną kieszonką; całość wykończona stebnami.

1149 Kostjum z aksamitu czarnego, przybrany oposami. Żakiet do kolan, zapięty na jeden guzik; poniżej lewego biodra duża kieszeń.

Kupujmy wyłącznie krajowe wyroby



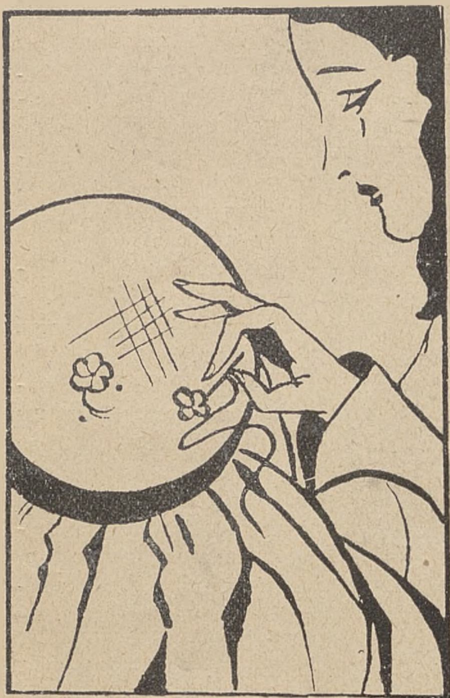


1150 Płaszcz z karakułów, przybrany jasnem futrem. Krój prosty, wyłogi szerokie, szalowe, mankiety wysokie.
1151 Płaszcz ze źrebiąt z paskiem skórzanym. Kołnierz i mankiety ze skunksów.
1152 Żakiet z baranków, przybrany selskinem.
1153 Żakiet z koźląt, przybrany ciemnem futerkiem.

ROBOTY RĘCZNE

UROK TECHNIKI

MÓJ BOŻE, we własnym domu o nic nie jest tak trudno jak o marzenia. Choćby się je niegdyś miało i najśmielsze i najpiękniejsze, to jest im tak, jak gołębiom z podciętemi skrzydłami. Nie krążą szerokiem kołem między słońcem a dachem domu, w powietrzu niebieskiem i drgającem. Nie, nie, marzenia pani domu podlatują niezdarnie jak kury, na piędź od ziemi. Ot tak, na wysokość nowej sukni, wyjazdu do kąpiel, awansu męża. Nie więcej.



Bo marzeniom wszystko przeszkadza. Skrzyp drzwi, zwłaszcza kuchennych, dzwonek w przedpokoju (elektryka, gaz, dziad, rachunek, wizyta) i dziura w pończosze i dzieci. Chociaż, właściwie dzieci — lepiej nie mówmy o dzieciach. Są nadewszystko kochane i nadewszystko nieznośne. Ileż razy głaszcze człowiek jakąś starą koszulinę, która przypadkiem wpadła w ręce. Głaszcze i składa i myśli trochę smutnie a trochę radośnie: oto twój najpiękniejszy temat do marzeń. A potem, nagle, wraca ów temat ze szkoły i pokazuje się, że ma za dużo rąk, nóg i że wrzeszczy opętanie.

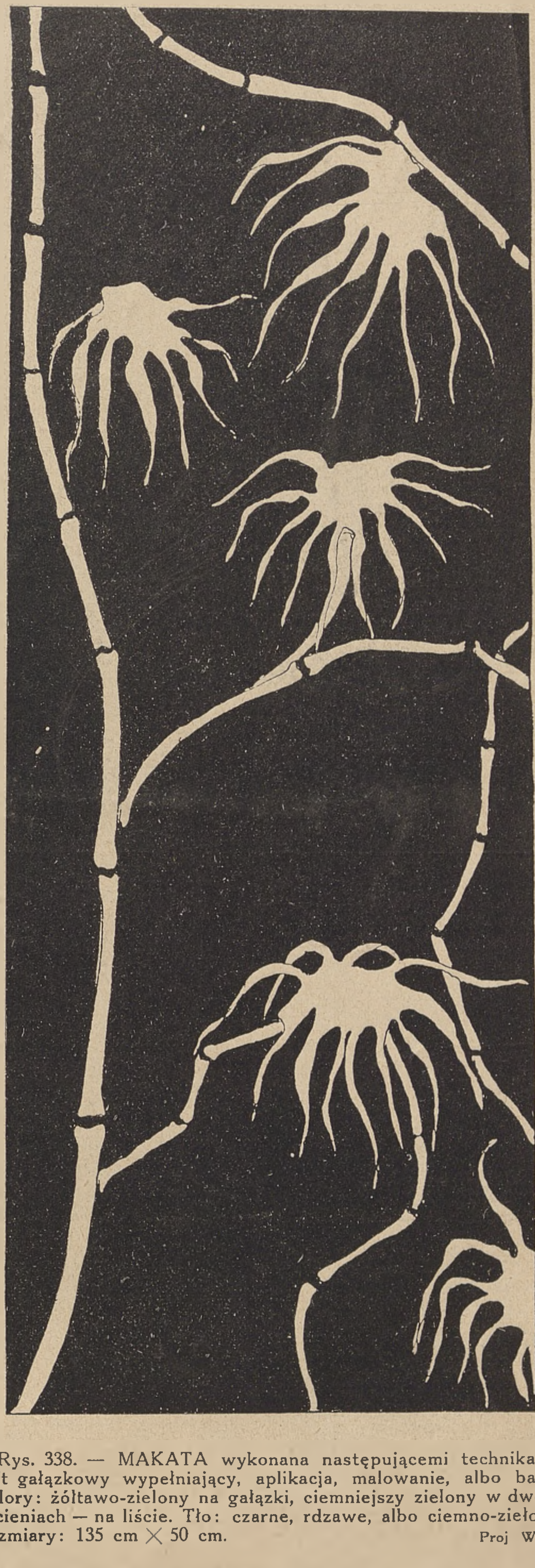
A jednak, marzenia należałoby hodować specjalnie. Tak jak pieczarki. Tak, aby przynosiły korzyść i nie były tylko rozrzewnianiem się nad własną dolą. Bo to niepotrzebne, ani niepomocne. Trudno, życie trzeba przeżyć od końca do końca, a czego nam niedostało, czegośmy przeżyć nie mogły, to możemy przemarzyć.

Nawet z igłą w ręce. Naprawdę. No, nie nad skarpetką, która zieje ku nam ogromną dziurą, podczas gdy jej sąsiadka wdzięczy się tuzinem dziureczek. Zostawmy to konieczne zło, aby je odrobić na trzeźwo lub en passant, naprzykład czekając na obiad. Do tego potrzebne są nam nasze skrzętne ręce gospodyni domu. Ale wieczorem, w wygodnym fotelu, gdy światło lampy prześwietla nam włosy a na twarz kładzie miękkie cienie, w takiej chwili sposobnej do marzeń, możemy mieć ręce wróżki. Z byle jakiej szmatki, z kolorowej nitki możemy wyczarować coś, co może być właśnie owym cudem, którego nam w życiu brakło.

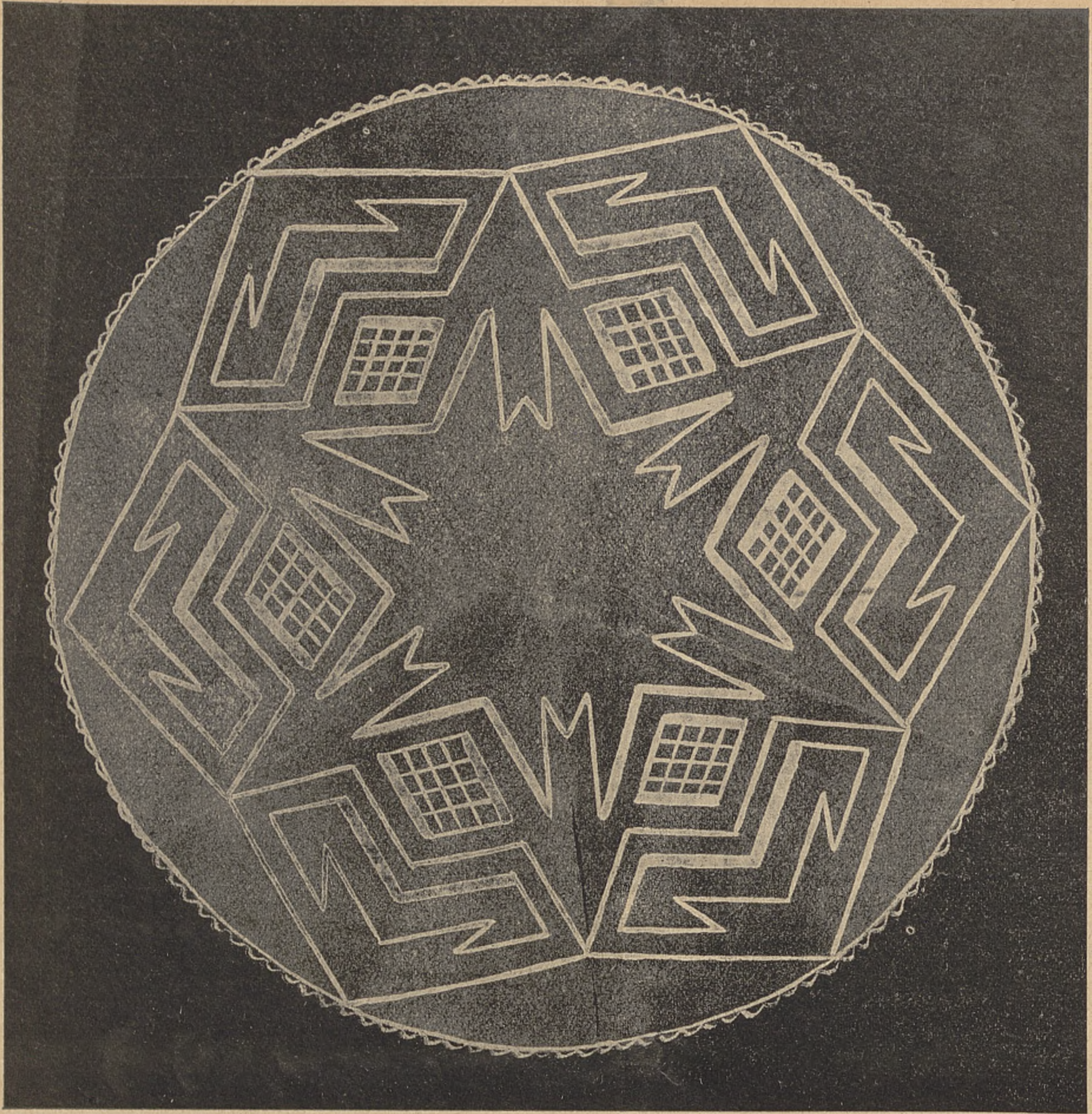
Wiadomo, wróżki tworzą z niczego. Artyści z marzeń, słów, tonów i barw. A my z takiej sobie szmatki, z marzenia i z tej odrobiny umiejętności, którą nazwiemy techniką. Jest to po prostu a, b, c, którem marzenie nasze wypowiedzieć możemy. A cały urok takiego wypowiedzenia polega na tem, że możemy wybrać to, co nam odpowiada.

Nie musimy koniecznie szydełkować, jeśli nie jesteśmy z usposobienia skromne i cierpliwe. Jeśli jesteśmy śmiałe, energiczne i samodzielne, wybierzemy na pewno kawał materjału w matowym tonie, aby rzucić zuchwałym kolorem i wydatnym ściegiem wzór, który da efekt nowy i oryginalny. Tak, jak w rozmowie rzucamy własne zdanie.

Jeśli mamy fantazję bujną a życie nie równa się naszym marzeniom, zahaftujemy wtedy kawałek kanwy wzorem drobnym i zawiłym i stworzymy jakby inny świat, ten niedościgły. Dopomoże nam urok techniki krzyżyka, czy au petit point, smyrny lub gobelinu.



Rys. 338. — MAKATA wykonana następującemi technikami: haft gałązkowy wypełniający, aplikacja, malowanie, albo batik. Kolory: żółtawo-zielony na gałązki, ciemniejszy zielony w dwóch odcieniach — na liście. Tło: czarne, rdzawe, albo ciemno-zielone. Rozmiary: 135 cm × 50 cm. Proj W. H.



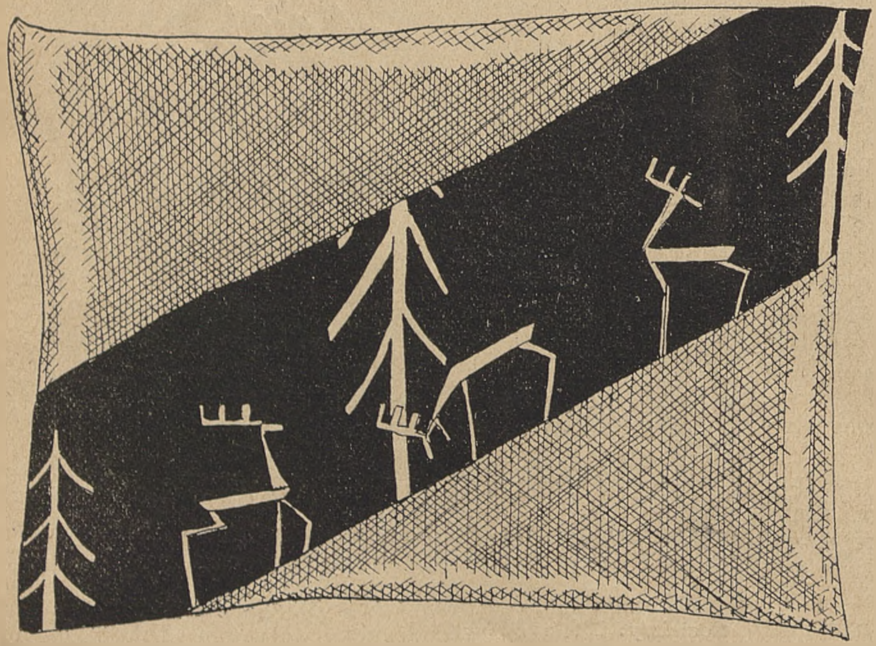
Rys. 339. — SERWETKA o średnicy 30 cm, wyszyta na tiulu metodą podrysowania lub na rzadszym tiulu metodą odliczania oczek. Proj. prof. S. KACPROWSKI

Albo na siatce tiulowej wyprowadzimy dziwne kwiaty, subtelne w kolorze, rozpierzchłe w rysunku — takie właśnie jak nasze myśli o czemś, co być nie może. Bo wyznajmy cichym szeptem, że mamy je wszystkie. Nie przy partji tenisa, czy wśród zajęć zawodowych lub domowych. Ale tak, szarą godziną albo w innej chwili dnia, która jest wyjątkowo naszą własną.

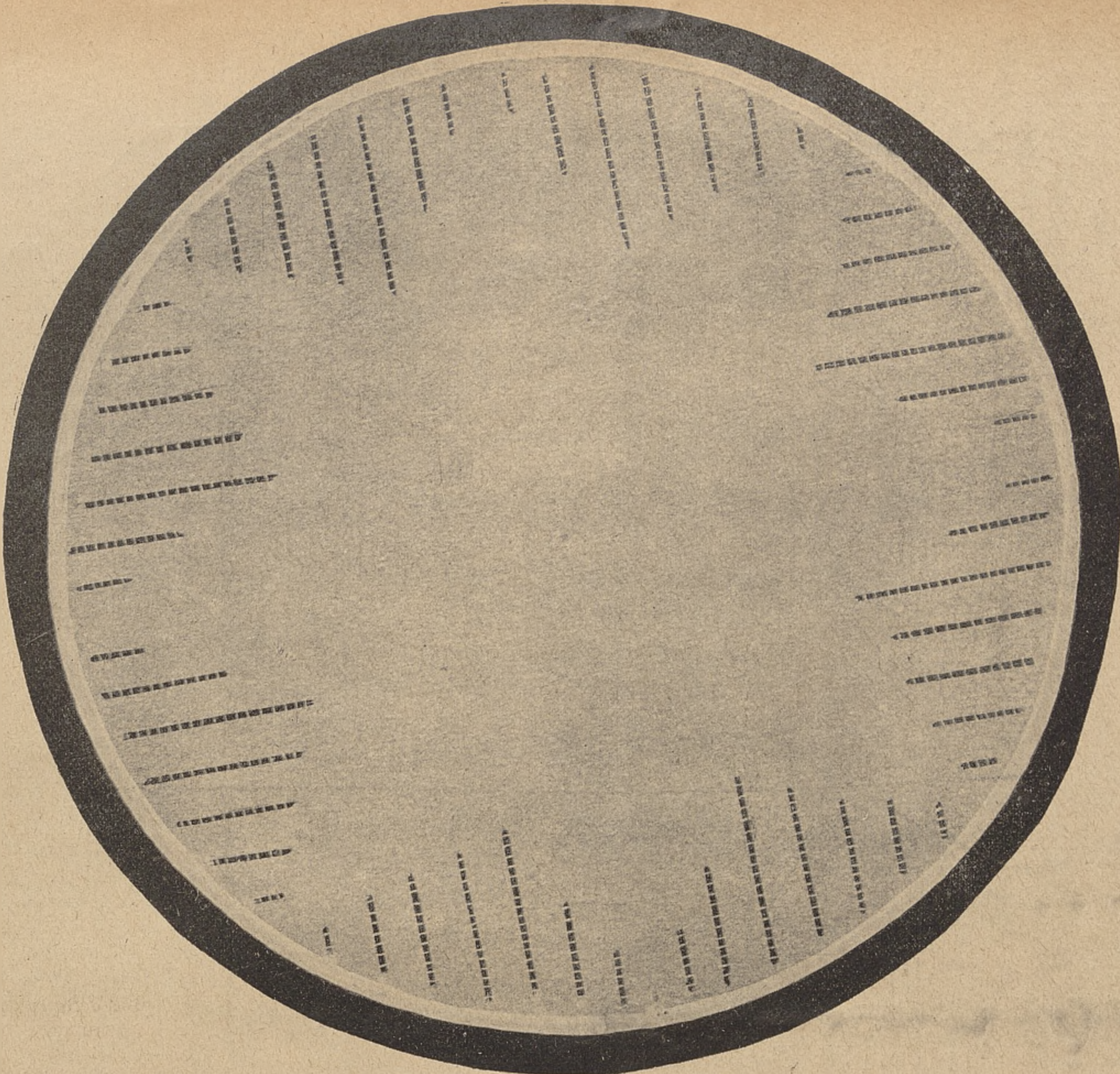
W takiej chwili mierzymy surowo i z niechęcią codzienność i przykładamy ją do naszych marzeń. Obie miary nie schodzą się nigdy i ten brakujący kawałek przeszkadza nam potem i zasłania rzeczy ważniejsze niż własne niezadowolenie. O ileż lepiejby nam było, gdybyśmy doszyły, dohaftowały ten kawałek, na płatku sukna czy jedwabiu. Twierdzę, że można wyhaftować nawet zmartwienie.

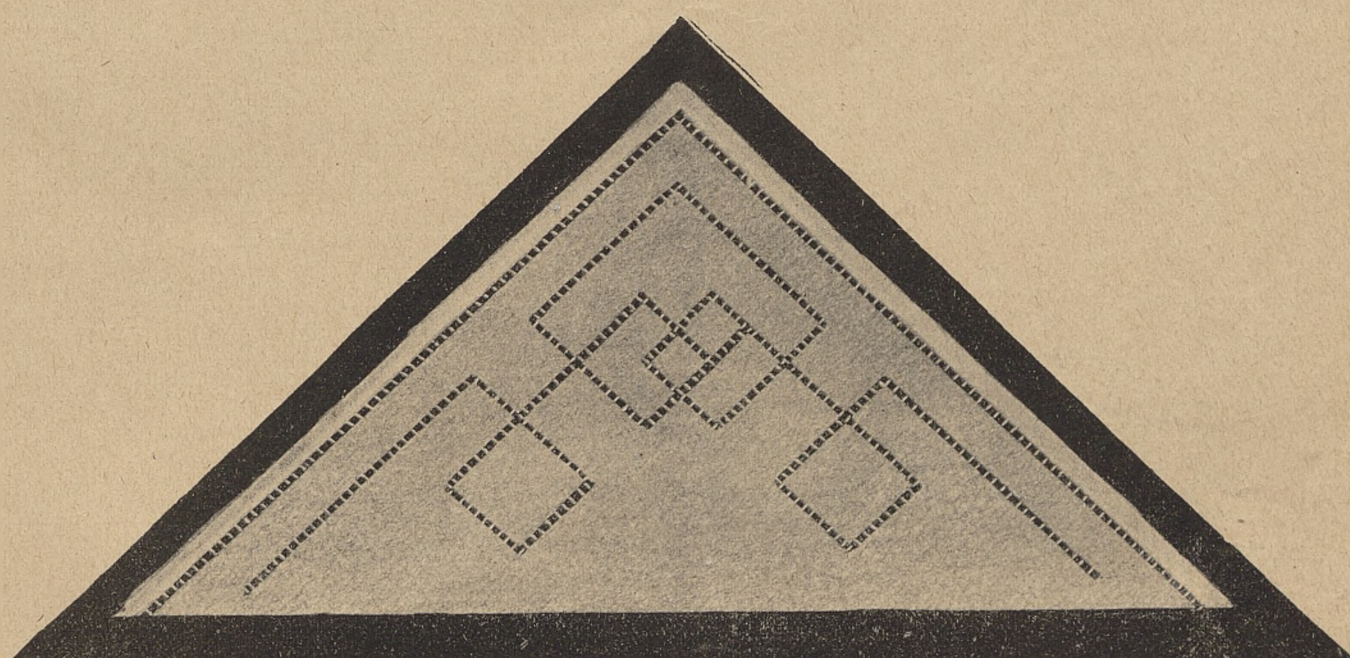
Zdarzyło się to jednej mojej znajomej. Spędzała lato w mieście i była zła i zmartwiona. Któżby nie był. Przytem marzyła. O wytchnieniu i o pewnej szczególnie pięknej linji, tej która dzieli siną kreską falę morza od fali nieba. Właśnie wtedy, przy porządkowaniu szuflady z gałgankami, znalazła stary, szary płaszcz sukienny i mnóstwo nowych skrawków błękitnych, białych, czarnych. I porwał ją z miejsca urok techniki — aplikacji. Do dwóch tygodni stworzyła makatę, cudowną, istne dzieło sztuki. Co więcej, sprzedała ją doskonale i urządziła sobie i mężowi małą przejażdżkę na Hel. Opłaciła się jej hodowla marzeń na podłożu uroku techniki.

JANINA OSIŃSKA

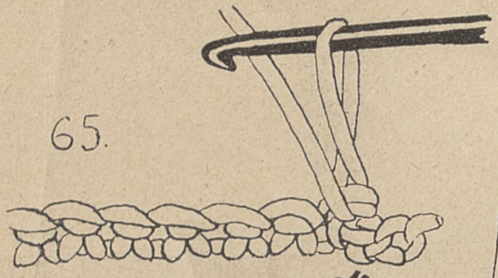


Rys. 340. — PODUSZKA do męskiego pokoju. Na tle czarnem, albo ciemno-brunatnem haft płaski w kolorach sarnim i blado-zielonym. Rogi poduszek stonowane z tłem urządzenia.

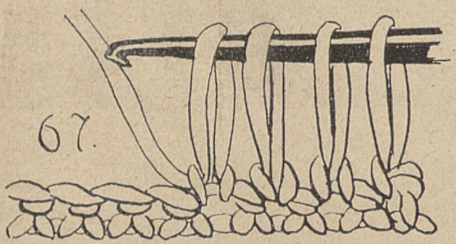


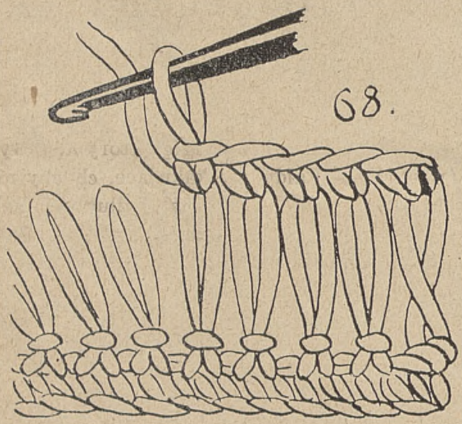


Rys. 341. — SERWETKA na stoliczek o średnicy 35 cm. Mereżka wyciągana.
Rys. 342. — NAROŻNIK naturalnej wielkości na chusteczkę, wykonany mereżką wyciąganą. Proj. prof. S. KACPROWSKI

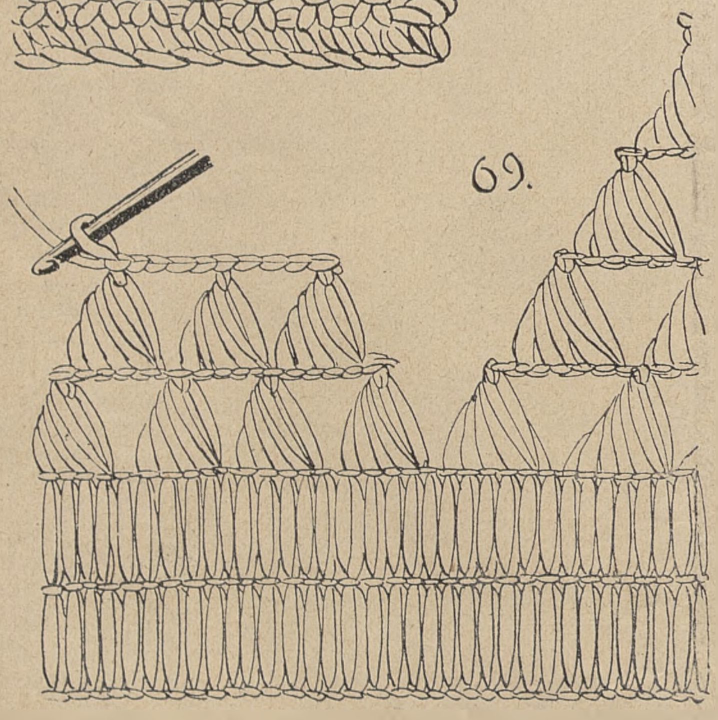












TRYKOTAŻE

Bardzo szybko postępuje robota ściegiem z kluczek, którym są robione rzeczy przedstawione na rysunku. Szal z włóczki cieniowanej jest zakończony zębami.

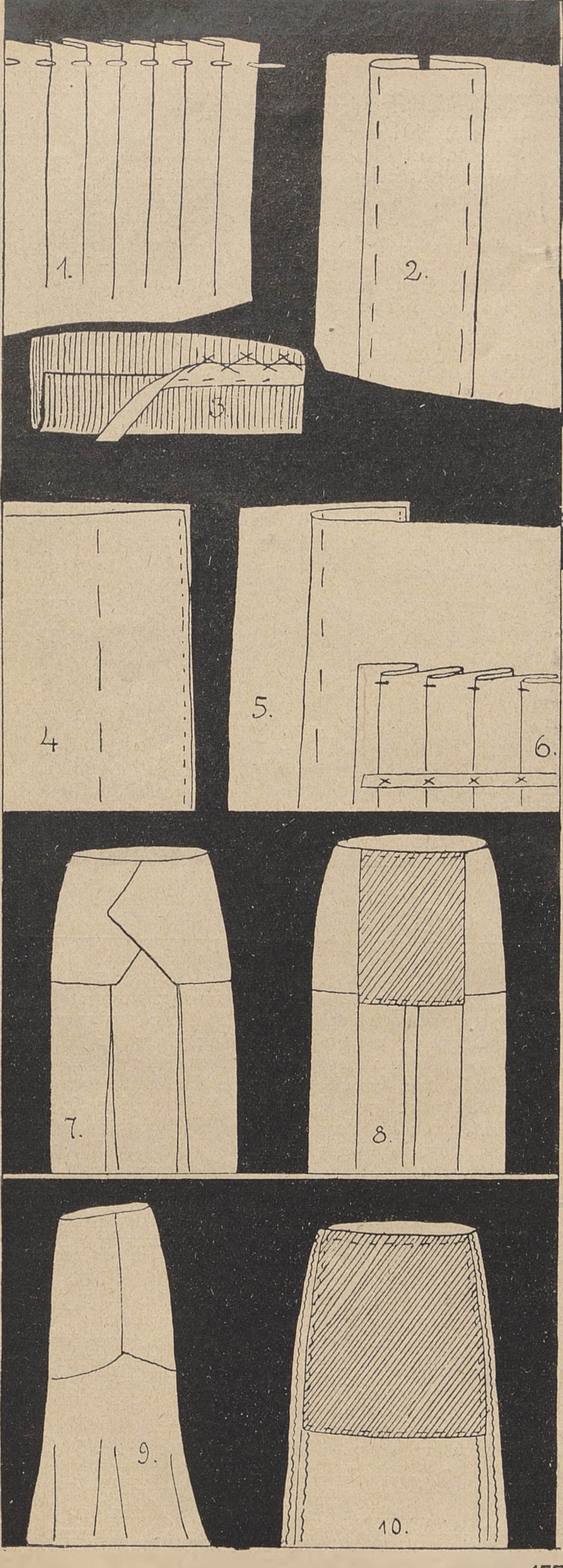
Kaftaniczek do łóżka z białej włóczki, otoczony barankiem włóczkowym, robi się początkowo okrągło, jak pelerynkę, dodając w miarę potrzeby kluczek. W ciągu dalszym robi się rękawy, przody i plecy oddzielnie i łączy je następnie szwami. Na ścieg ten nadaje się najlepiej niezbyt cienka, puszysta włóczka, albo jedwab „frotté".

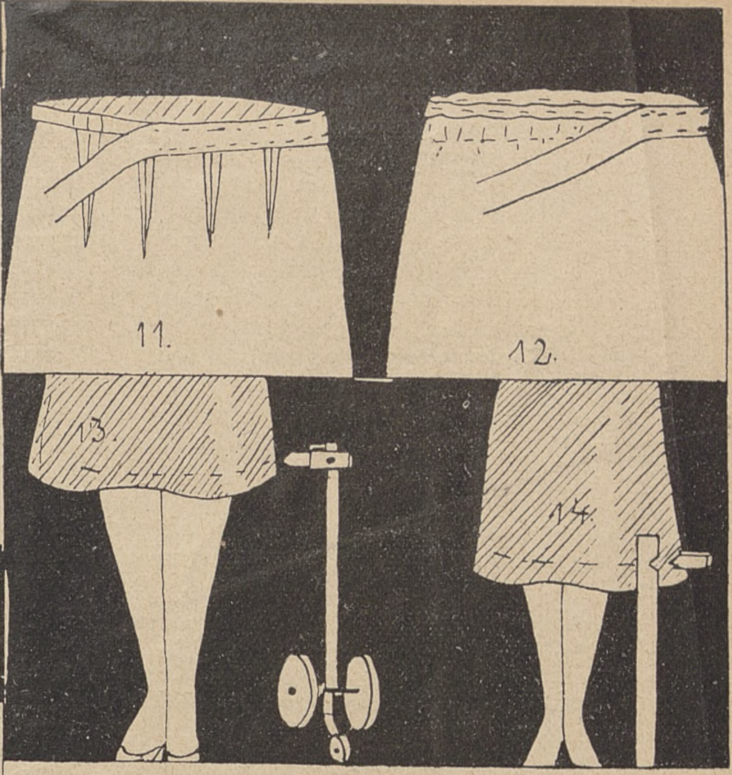
Robotę rozpoczyna się oczkami w powietrzu i rzędem ścisłych oczek, który odpowiada szerokości kroju wzgl. szala. Przy obróceniu roboty po pierwszym rzędzie ścisłych oczek, wyciąga się kluczkę pozostającą na szydełku na dowolną długość, np. 2—3 cm (rys. 65). Do następnego ścisłego oczka wbić szydełko, przewlec nitkę i przerobić jak na ścisłe oczko (rys. 66), ale kluczkę znajdującą się na szydełku wyciągnąć, żeby osiągnęła tę samą długość, co pierwsza kluczka. Postępując tak dalej uzyskamy szereg kluczek (rys. 67), a gdy ich będzie za dużo na szydełku, pozostawiamy na niem tylko 2 ostatnie, służące jako miara dla następnych. Gdy rząd już cały przerobiony, obrócić robotę i zrobić w każdą kluczkę po 1 ścisłem oczku (rys. 68). Następny rząd kluczek wrabiać w te ścisłe oczka.

Przez zbieranie po 5 kluczek na 1 ścisłe oczko powstają zęby, przedstawione na rys. 69. Po każdem ścisłem oczku zbierającem 5 kluczek, robić 4 o. w p., które przy następnym rzędzie służą jako podstawa dla kluczek. Ostatnich 5 kluczek można zakończyć kutasikiem.

Tym samym ściegiem z kluczek robi się poduszki, futerko z włóczki i t. p.

Z. KULCZYCKA





KĄCIK PRAKTYCZNY

SZYCIE SPÓDNICZEK

Plisowane części zawsze są modne. Przed przyszyciem trzeba brzeg ich zebrać ściegiem przed igłę, którym chwyta się każdy fałdzik (rys. 1). — Fałdy wyskakujące, choćby niezaprasowane, należy fastrygować wzdłuż całej długości, żeby się odpowiednio układały po wyjęciu fastrygi (rys. 2). Szwy ukrywa się w głębokości fałdów. Można sobie to ułatwić, fastrygując fałd najpierw z lewej strony (rys. 4), a po odwróceniu drugi raz z prawej (rys. 5). Gdy fałdy nie mają się zanadto rozchodzić, ujmujemy je na tasiemkę, przyszytą po lewej stronie (rys. 6).

Niekiedy wstawia się fałdy poniżej pasa, a niezawsze można je pod spodem przytwierdzić do spódniczki. Gdy górny brzeg ich pozostaje wolny, fałdy źle się układają albo wyrywają się. Temu można zapobiec, przyszywając brzegi fałdów do kawałka cienkiej podszewki o równym biegu nitki i przytwierdzając tę podszewkę w pasie (rys. 7 i 8). Rys. 7 przedstawia spódniczkę z prawej, rys. 8 — z lewej strony.

Elastyczne materjały wełniane układają się w czasie noszenia ściśle podług kształtów ciała. Wygląda to nieładnie przy obecnej modzie obcisłych spódniczek poniżej bioder. Chcąc złu zaradzić, przyszywamy ztyłu mocną podszewkę, ujmując ją w bocznych szwach, albo przytwierdzając ją do nich po stronie wewnętrznej (rys. 9 i 10).

Nadmiar materjału w pasie redukuje się drobnemi wszytkami, albo marszczeniem, gdy chodzi o wiotkie materjały (rys. 11 i 12). Wewnątrz wykończa się spódniczkę mocną taśmą przyszytą w pasie.

Przypominamy, że przed wojną zrównanie dolnego brzegu spódniczek wykonywało się zapomocą kredy przytwierdzonej do drążka na kółkach. Przyrząd taki można sobie sporządzić z dziecinnej zabawki (rys. 13). Inny sposób polega na odmierzaniu długości przy pomocy paska tekturki, albo drewnianej linji i kredy.

Z. KULCZYCKA

GOSPODARCZE ORGANIZACJE U NAS A ZA GRANICĄ

OBJAWEM bardzo znamiennym dla kobiet polskich jest brak potrzeby zrzeszania się w związki lub organizacje. A przecież na siły własne liczyć nikt się nie ośmiela. Pojęcie samowystarczalności gospodarczej tak szeroko wszędzie propagowanej ma w sobie już zadatek uspołecznienia, ponieważ jednostka samowystarczalną dla siebie być nie może. Wszyscy się zgadzają w teorji, że podstawą finansową państwa jest racjonalna gospodarka domowa i że do niej można dojść jedynie przez zmianę dotychczasowych metod pracy domowej. Ale tu wszelkie usiłowania nowatorskie napotykają na niezwalczony opór ze strony rzesz kobiecych — ich bierność! Dobrze jest tak, jak było dawniej. Szkoda wysiłku nielicznych jednostek, bo i tak inaczej nie będzie.

Bezwątpienia. Lecz na to jest jedyna odpowiedź. Do podźwignięcia stanu finansowego kraju trzeba wysiłku gromady!

Nieliczne, choć stale postępujące w swej pracy naprzód organizacje kobiece w Polsce, urządzają w połowie października r. b. w Warszawie pierwszy wielki Zjazd Pań Domu, mający na celu uświadomienie gospodarcze szerokich mas kobiecych oraz zjednoczenie ich we wspólnej pracy.

Jak pracuje Koło Studjów Gospodarstwa Domowego, jedna z pierwszych placówek gospodarczych w Polsce, Czytelniczki nasze niejednokrotnie były informowane. Będzie więc rzeczą wskazaną, szczególniej wobec zbliżającego się Zjazdu, na którym uczestniczyć mogą bez ograniczeń osoby zainteresowane, zapoznanie się z podobnemi organizacjami za granicą. Specjalną sprężystością pracy odznaczają się kobiety austrjackie: Związek ich nosi nazwę oficjalną „Reichsorganisation der Hausfrauen Oesterreichs”, co daje łatwy i popularnie używany skrót „Rohö”.

Rohö istnieje od lat 20 i posiada zgórą 5.000 członkiń. Niemki są ogromnie praktyczne, dlatego też wiedzą, że jeśli chcą pozyskać sobie liczne członkinie, to muszą przedewszystkiem zapewnić im wzamian korzyści materjalne. W tem praktycznem ujęciu podstaw Związku kryje się cała jego potęga. Rohö jest zupełnie apolityczna i stoi twardo na gruncie swej specjalności — niesienia kobiecie pomocy i ułatwień w walce z codziennemi potrzebami jej życia. Stąd widać, że Rohö stawia sobie szersze zadania, aniżeli nasze organizacje gospodarcze. Okres bowiem doszukiwania się udoskonaleń i uproszczeń jedynie w zakresie życia gospodarczego kobiety Rohö ma już dawno poza sobą. Do prac i zainteresowań domowych włączona została troska o potrzeby osobiste kobiety — pani domu, a przez nią także i pozostałych członków rodziny. Korzyści wyciągane z należenia do Rohö są bardzo pożyteczne i w szerokim ujęte zakresie. Składka roczna wynosi 4 szylingi czyli 5·04 złotych i uprawnia do korzystania: 1) z ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, 2) pomocy lekarskiej, 3) bezpłatnego miesięcznika gospodarskiego die „Hausfrau”, 4) bezpłatnej wypożyczalni książek, 5) zniżek od 3% do 25% w szeregach firm wiedeńskich, 6) zniżkowych kompletów tańca, 7) zniżkowych salonów fryzjerskich i gabinetów kosmetycznych, 8) pomocy bezpłatnej prawnej i zawodowej, wreszcie 9) opieki społecznej nad dziećmi i starcami.

Pozatem Rohö posiada szereg sekcyj, które niejako przejmują na siebie trudy i rozproszone troski gospodarskie poszczególnych pań domu. Każdej jesieni sekcja opałowa organizuje dostawę taniego opału dla swych członkiń. Prócz tego Rohö posiada własną wielką pralnię zwaną „Habsburg”, gdzie członkinie mają praną bieliznę za minimalną opłatą. Bardzo biednym przysługuje prawo prania bielizny własnoręcznie przy jednoczesnem korzystaniu z wszelkich nowoczesnych udogodnień pralni.

Drugą imprezą dochodową Rohö jest na wielką skalę prowadzona wypożyczalnia bielizny stołowej i pościelowej na przyjęcia okolicznościowe, zjazdy i t. p. Wreszcie na specjalną uwagę zasługuje cały szereg kursów zawodowych, które prowadzone są współrzędnie z akcją samopomocy. Przedstawia się to w sposób następujący. Są to kursy modniarskie, bieliźniarskie, krawieckie, fryzjerskie, kosmetyczne, hafciarskie, introligatorskie i t. p. Korzystać z nich może każda członkini dowolnie, według własnej potrzeby. To znaczy, że może, pragnąc się wykształcić zawodowo, skończyć cały kurs kompletny i otrzymać patent. Jednocześnie jednak wykładowcy poszczególnych kursów udzielają na żądanie wskazówek pojedyńczym członkiniom. Np. pani pragnie sprawić sobie nową suknię lub kapelusz. Nabywanie tych niezbędnych przedmiotów w sklepie jest dla niej za drogie. Kupuje więc materjał na suknię lub filc czy słomę na kapelusz, idzie do Rohö i tam za niewielką opłatą korzysta z wskazówek i pomocy fachowej specjalisty, pod którego okiem wykonywa swą robotę. W ten sposób bardzo tanio i praktycznie kobiety wiedeńskie ubierają siebie i swoje dzieci.

Widać z powyżej wymienionych punktów jak nieocenione usługi swym członkiniom oddaje Rohö. To też popularność tej instytucji w Wiedniu jest olbrzymia. Rohö często organizuje wystawy gospodarskie, które cieszą się wielkiem poparciem społeczeństwa. Na takich wystawach, oprócz nowoczesnych urządzeń, wy-

nalazków i artykułów pierwszej potrzeby, demonstrowane są nowe metody pracy w mieszkaniu i w kuchni. Na te krótkie wykłady wstęp jest bezpłatny.

Na zakończenie nie można pominąć pomysłowego sposobu nawiązywania stosunków towarzyskich pomiędzy zrzeszonemi. Oto raz na miesiąc Rohö urządza t. zw. „Hausfrauen-Nachmittage” — podwieczorki pań domu, które odwiedzają z rozkoszą zarówno mężczyźni, jak kobiety.

W dużym eleganckim lokalu urządzona jest wystawa aktualności gospodarskich, kobiecych drobiazgów, przedmiotów zbytku i t. p., które nabywać można na miejscu po cenach specjalnie na ten dzień zniżonych. Przyczem otrzymuje się moc próbek okazowych bezpłatnie. Podwieczorek zjeść można według cen nominalnych, mimo iż urozmaicają go pierwszorzędne atrakcje artystyczne i doskonały koncert.

Oto mniej więcej całokształt działalności tej ze wszech miar godnej uwagi organizacji kobiecej. Nie wątpię, że korzystając z cudzego długoletniego doświadczenia, niejedno dałoby się z powodzeniem i korzyścią przeszczepić na nasz grunt.

MARJA ANKIEWICZOWA



DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

KUROPATWY. Do smażenia albo pieczenia nadają się tylko młode kuropatwy, które można poznać po barwie nóg. Żółte albo jasno-bronzowe nogi oznaczają, że kuropatwa jest młoda, natomiast stare kuropatwy mają nogi sinawo-szare. Najczęściej piecze się kuropatwy szpikowane i owiązane plasterkami słoniny. W ten sposób nie wyschną. Bardzo soczyste będą również, jeśli piecze się je w śmietanie. W tym celu należy po szybkiem zrumienieniu polać kuropatwy śmietaną i piec w niej, polewając ciągle. Gdy miękkie, wyjąć, a sos zaprawić jeszcze świeżą śmie-



taną i łyżką miazgi pomidorowej. Zamiast pomidorów można do sosu dodać głóg, z którego trzeba wybrać pestki. Wystarczy kilka jagód do nadania doskonałego smaku.

Gołębie można przyrządzać jak kuropatwy, dodając korzeni i postępując zresztą jak powyżej. Do szpikowania i owiązania użyć słoniny wędzonej.

CIELĘCINA NA SPOSÓB HOLENDERSKI. Wyżyłować cielęcinę i włożyć do brytwanny. Dodać pokrajaną cebulę i włoszczyznę, skórkę cytrynową, korzeni, soli oraz 2 dkg tartych obranych migdałów. Polać mięso stopionem ale nie zrumienionem masłem, przykryć szczelnie i dusić powoli, polewając często rosołem. Po 1½ godz. mięso powinno być miękkie, wtedy wyjąć je na ogrzany półmisek, sos zagotować z miazgą pomidorową i polać nim mięso przez sitko. Podać z makaronem albo z ryżem.

ARBUZ NA SPOSÓB WSCHODNI. Obrać mały arbuz i odciąć koniec, przez otwór zaś wybrać miękisz, następnie zagotować w słonej wodzie. Zależnie od wielkości arbuza posiekać pewną ilość smażonej baraniny, dodać gotowanego ryżu, odrobinę miękiszu arbuza, z którego pestki są usunięte, odrobinę czosnku, majeranku, soli i tyle jaj, żeby masa podczas gotowania dobrze się zwarła. Nadziać nią arbuz, włożyć do wysokiego rondla, dodać masła, korzeni i rosołu i dusić powoli pod przykryciem. Podać ze sosem pomidorowym.

Czem i jak myć twarz po wywczasach

W poprzednich artykulikach położyłem nacisk na odświeżanie zgrubiałej podczas wywczasów cery, ponieważ młodociany wygląd zależny jest głównie od stopnia cienkości naskórka. Już woda gorąca jest dodatnim czynnikiem zmiękczającym twardy naskórek. Ponieważ każda niemal woda zawiera szkodliwe dla skóry twarzy sole wapniowe, winno się ją zawsze zmiękczać kosmetycznym boraksem Dra Lustra. Wiadomo, iż najlepszym środkiem do mycia twarzy o tłustej właściwości, jest proszek marmurowy „Miraculum“. Proszek ten znajdzie też korzystne zastosowanie po powrocie z letnisk i u osób o prawidłowej lub suchej cerze. Zastosowanie proszku marmurowego w wyjątkowym tym wypadku różni się od pielęgnowania nim tłustej cery tem, iż tłustą myje się bez natłuszczania, natomiast prawidłową natłuszcza się przed myciem kremem „Mira“, suchą zaś — kremem „Oxa“ Dra Lustra. Natłuszczoną twarz spłókuje się po 10 minutach długo gorącą wodą, poczem myje się proszkiem marmurowym „Miraculum“.

1125 Dr Z. B.

Czerwoność skóry, rąk i twarzy usuwa niezawodnie śnieżnobiały krem Leodor, który nadaje cerze matowy odcień, tak charakterystyczny u pięknych i wytwornych pań. Specjalną zaletą tego kremu jest również to, że nadaje się równocześnie jako doskonały podkład pod puder. Perfuma kremu Leodor przypomina zapach świeżo zerwanego bukietu fiołków, bzu, róż i konwalji. Ulubione te zapachy są w cudownej harmonji zawarte w kremie Leodor.

Do nabycia w perfumerjach i droguerjach.

RYŻ Z MORELAMI. Ugotować świeże albo suszone morele z małą ilością wody. Ugotować 30 dkg ryżu z odpowiednią ilością mleka. Gdy wystygnie, dodać 2 łyżki masła, 5 łyżek cukru, 3 żółtka i łyżeczkę tartej skórki cytrynowej. Nakoniec wymieszać z pianą z 3 białek. Wysmarować formę suto masłem, wyłożyć połowę ryżu, na to nakłaść osączone morele. Na wierzch położyć resztę ryżu i piec w gorącej rurze. Podać z sokiem morelowym (z osączenia moreli) z dodatkiem rumu, albo z bitą śmietaną.





PRZEDMIOTY NIKLOWE, których się przez pewien czas nie używa, chroni się przez powleczenie kolodjum.

DO CZYSZCZENIA MIEDZI nadaje się mydło z żytniówką i kredą. Również dobrze czyści się miedziane przedmioty wełnianym płatkiem maczanym w olejku stearynowym, a następnie w wapnie wiedeńskiem.

ŚNIEDŹ zmywa się wodą z amonjakiem: 1 część na 5 części wody.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

BIRUTA. — Po szczegółowe informacje zechce Pani zwrócić się do Komendy Policji Kobiecej w Warszawie, na ręce pani Komendantki Paleolog. — Widocznie niezbyt dokładnie czytuje Pani „Świat Kobiecy", skoro uwadze Jej uszedł artykuł Ireny Jabłowskiej o policji kobiecej w Polsce.

M. z N. — Obrzmiewanie pod oczyma, o ile nie pochodzi z pracy natężającej wzrok zwłaszcza przy sztucznem świetle, jest zazwyczaj objawem jakiejś choroby. Środki kosmetyczne są bezsilne w takich przypadkach. Trzeba udać się z córką do lekarza, specjalisty chorób wewnętrznych.



JANINA P. — Owszem, może Pani zużytkować futro wilka, gdyż jest tego roku modne. Używane przeważnie do czarnych materjałów i do modeli strojniejszych popołudniowo-wieczorowych ze względu na niezwykle puszysty włos.

Z. Z. — Redakcja, ani administracja naszego pisma nie może zajmować się załatwianiem sprawunków dla Abonentek. Dział tego rodzaju wymagałby specjalnych sił fachowych i osobnej organizacji biurowej, czego wydawnictwo nasze niema zamiaru wprowadzać. Wszelkiemi udogodnieniami i informacjami, o ile leżą w zakresie działania naszego pisma, służymy zawsze bardzo chętnie naszym Czytelnikom, ale kwestja załatwiania sprawunków jest bezwzględnie wyłączona.

GOTUJCIE NA GAZIE



WĘGIEL GAZ 1035



1019

Chrońcie dzieci

oraz dorosłych przed chorobami gardła, anginą i grypą. Właśnie teraz w porze jesiennej, gdy temperatura i pogoda ulegają stałym zmianom, należy zwracać szczególnie baczną uwagę na zdrowie. Każdy, kto bierze udział w zebraniach, odwiedza teatry lub kina, podróżuje, lub wogóle przebywa w lokalu odwiedzanym jednocześnie przez wiele osób, jak się to dzieje zwłaszcza z dziećmi szkolnemi, powinien od czasu do czasu zażyć pastylkę Panflaviny. Pastylki te, wyróżniające się dobrym czekoladowym smakiem, należy powoli przeżuwać w ustach. Chronią one nas niezawodnie przed niebezpieczeństwem zakażenia chorobami gardła i grypą. Pastylki Panflavin są do nabycia we wszystkich aptekach.

OGRÓD POŁONIECKIEGO

LWÓW, UL. PONIŃSKIEGO 21

POLECA NA JESIEŃ 1930

DRZEWKA OWOCOWE

Jabłonie, grusze, śliwy, czereśnie, wiśnie, orzechy włoskie, brzoskwinie i morele w kilkunastu odmianach

KRZEWY OWOCOWE

Winorośle, agresty krzaczaste i pienne, porzeczki krzaczaste, maliny wielkoowocowe

DRZEWKA I KRZEWY OZDOBNE

Bzy, prunusy, deucia, veigelia, ligustrum, cydonia japonica, caragana krzaczasta i płacząca, crategus carmesiana

RÓŻE

RÓŻE pienne — płaczące — krzaczaste — pnące — bukietowe — cukrowe w kilkudziesięciu najpiękniejszych nowych odmianach

BYLINY I KŁĄCZE

Piwonje, maki, phloxy, astry zimotrwałe, ostróżki, irysy, doronicum, pyrethrum, łubiny, narcyzy, fiołki pachnące

DALJE — GEORGINJE

W najnowszych, najpiękniejszych odmianach. Wielki wybór. Oczka róż do oczkowania letniego

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34